



WOJEWÓDZKA I MIEJSKA BIBLIOTEKA PUBLICZNA IM. ZBIGNIEWA HERBERTA
ZWIĄZEK LITERATÓW POLSKICH – ODDZIAŁ W GORZOWIE WIELKOPOLSKIM

W TYM PODWÓJNYM NUMERZE: FELIETON O WYOBRAŹNI J. ALSKIEGO * JUBILEUSZE NESTORÓW GORZOWSKIEJ LITERATURY: WIERSE: I.K. SZMIDTA I JERZEGO GAŚTORKA * NOWE WIERSE JANINY JURGOVIK I JOLANTY KARASIŃSKIEJ * ZAPISKI LIRYCZNE CZ. SOBKOVIKA O JEGO NOWEJ KSIĄŻCE RECENZJA ANNY DOMINIĄK * STAŁE KOLUMNY KRYSZTOF KAMIŃSKIEJ – RECENZJE I OMÓWIENIA NOWYCH KSIĄŻEK LUBUSKICH * WARSZTAT PROZY II LO W GORZOWIE * ŚMIERĆ I KONIEC DROGI DO RAJU HENRYKA W. KORDONIA I NA OSTATNIEJ STRONIE SATYRA WIERSZOWANA FERDYNANDA GŁODZIKA

Janina Jurgowiak HEJ KOŁĘDA

Bieżeli, bieżeli,
śpiewali, krzyczeli...
A ten pierwszy
niósł gwiazdę świecącą.
Hej, kołęda, kołęda!

Anioł obiecywał cuda,
diabeł drwił z wszystkiego.
Hej, kołęda!

Szły owieczki, osioł, wołek,
koziołek, pastuszek,
Żyd szedł stary,
król, magowie –
– Gdzie dzieciątko?
– Kto nam powie?
– Czy się urodziło?
– W czym sercu?
– W czyjej głowie?
– Gdzie to było?
– Gdzie to jest, a może będzie?

Posiadali umęczeni
na bielutkiej łące.
Gwarzą cicho:
– Może teraz?
– Może już?

Hej, kołęda –
Rok po roku...
lat już dwa tysiące
czekają na cud.



Jerzy Alski WYOBRAŹ SOBIE

W czasach zarazy sugestia „wyobraź sobie” jest dość oczywista, bo przecież wiele z rzeczy, które jeszcze niedawno mogliśmy przeżyć, teraz możemy sobie jedynie wyobrazić. Czy też, aby je przeżyć, musimy je sobie przedtem wyobrazić. Ożywienie wyobraźni to nie ostatni pożytek z zarazy, jeśli wypada formułować tak cyniczny wniosek. I przecież nie aż tak cyniczny, bo zaraza jest pozamoralna, ona po prostu jest, a to my dopiero nadajemy jej rozmaite moralne oblicza. Wśród nich stwierdzenie o jakimkolwiek pożytku wynikającym z niej pachnie na kilometr ponurym cynizmem, a jednak... Człowiek, który biegnie, opętany jest przez dwie myśli. Pierwsza to cel, zaś druga to właściwy rytm oddechu. Człowiek, który idzie, rozgląda się wokół siebie, dostrzega niezwykle szczegóły świata, który dotąd być może przemierzał w biegu właśnie, wcale często zapomina o celu albo bierze inny niż pierwotnie zamierzony, niekiedy nawet wstrzymuje oddech na widok tej czy innej osobliwości obecnej w pejzażu lub refleksji. Biegając, posuwamy się doraźnie – od uderzenia stopą do uderzenia stopą, idąc, posuwamy się w perspektywie – od spostrzeżenia do spostrzeżenia, od refleksji do refleksji, przeglądając otaczające nas okoliczności świata z rozumą i emocją daleko głębszą aniżeli ta, która towarzyszy wyścigom.

Coś chciałbym opowiedzieć... I wiem, że to będzie trudne, ale bardzo chciałbym. Dlatego, skoro zaraza pozwala mi iść wolniej, zacząć okrężnie. Zaczę od najsłynniejszego „Wyobraź sobie” – tego Johna Lennoxa. Od „Imagine”:

*Wyobraź sobie że nie ma nieba
To łatwe jeśli spróbujesz
Żadnego piekła pod nami
Nad nami tylko niebo
Wyobraź sobie wszystkich ludzi
...*



*Wyobraź sobie że nie ma krajów
Niczego wartego, by zabić lub zginąć*

...

*Wyobraź sobie wszystkich ludzi
Jak dzielą ze sobą świat*

...

*Możesz mówić że jestem marzycielem
Ale nie jestem sam*

Mam nadzieję że któregoś dnia dołączysz do nas

...

Jedno z najpiękniejszych wyobrażeń pokoju i braterstwa wszystkich ludzi. Ballada mająca w sobie wizjonerski, bezkompromisowy rozmach – i użycie słów pełnych agresywnych spółgłosek jest jakby nie na miejscu, bo John Lennon śpiewa tę balladę w niesłychanie łagodny sposób, ale łagodność jego śpiewu również daje świadectwo radykalnej bezkompromisowości takiej wizji świata. Ona nie może być inna – może być tylko łagodna. Wszystkie szczęśliwe dzieci, wszystkie szczęśliwe kobiety, wszyscy szczęśliwi mężczyźni... Oczywiście jest to niemożliwe, bo zawsze zdarzają się jakieś choroby albo ciężkie zimy, ale wyobrazić sobie świat bez chciwości, bez głodu? Imagine!

Coś chciałbym opowiedzieć... Być może bardziej ułożyć się sam z tym czymś, aniżeli opowiedzieć. Bo to coś już opowiedziałem, a od czasu, kiedy opowiedziałem, nie daje mi ono spokoju. Moje „wyobraź sobie” pojawiło się, kiedy w pewnej powieści pewien arcybiskup do redaktora prowadzącego z nim wywiad skierował taką sugestię: „Proszę wyobrazić sobie, że Jezus nadejdzie w najbliższe Boże Narodzenie. O czym nauczałby za trzydzieści lat? Jakie zawierałby przyjaźnie, jacy uczniowie by mu towarzyszyli, z kim siadałby do stołu?”. Arcybiskup jest odstępca, buntownikiem, heretykiem niemal, o wiele bliższym idei Kościoła, którą przedstawia i wdraża papież Franciszek, aniżeli kolejnym stanowiskom Konferencji Episkopatu Polski – jest takim, bo jego przyjaciela biskupa, pomówionego o uczynek przestępczy i ohydny, ratuje z rąk oprawców jeden agnostyk i jedna ateistka, a on to przeżywa głęboko. Arcybiskup stopniowo dojrzewa do refleksji, że bycie dobrym człowiekiem jest równoznaczne z byciem dobrym chrześcijaninem, bo bycie dobrym człowiekiem wypełnia niemal bez reszty realizację nauczania Jezusa Chrystusa. Po czym dostrzega coś jeszcze – i od czasu, kiedy arcybiskup Marek to powiedział, nie daje mi jego myśl spokoju. Teraz właśnie próbuję się z nią zmierzyć, zdając sobie doskonale sprawę, że łatwe to nie będzie.

Wyobraź sobie, że w 2021 roku Jezus Chrystus, który ponownie zstąpił na Ziemię, rozpoczyna swoje nauczanie. Wyobraź sobie najpierw, kto mu towarzyszy; możesz to zrobić, jeśli znasz Ewangelie. Byłby tam zapewne jakiś policjant wyrzucony ze służby, ktoś siedzący na kasie w Biedronce, jakiś kierowca autobusu wożącego dzieci do szkoły, jakiś bezdomny... Byłoby pewnie kilku Jego krewnych: cieśla, tynkarz, nic wielkiego. To tylko analogia, tylko wyobrażenia, pamiętaj. Wyobraź sobie dalej: współczesną Marię Magdalenę, współczesnego Poncjusza Piłata, współczesnego Józefa z Arymatei i tak dalej, dalej... Przeniesienie w pamięci którąś z Ewangelii w rok 2021 i... wyobrażaj sobie. A im dalej, tym bardziej będzie to się stawać trudniejsze, bo teraz przyjdzie się przedzierać przez naukę Jezusa Chrystusa. Bo trzeba będzie wziąć pod uwagę fundamentalny fakt, że nie jesteśmy w roku 33, a w roku 2021. Świat, mimo wszystkich przerażają-

cych i ohydnych epizodów swojej historii, zrobił olbrzymi krok do przodu. Wiemy inaczej i lepiej, jak powstał i jak zbudowany jest wszechświat, wiemy, jak funkcjonuje ludzki umysł, wiemy, czym jest zaraza, jak powstaje tsunami, potrafimy polecieć w kosmos i zdetonować bombę wodorową. Obyczajowość nasza jest inna i wiemy, że istnieją odmienne od naszej, a równoprawne jej obyczajowości. Daleko więcej wiemy o nas samych i staramy się akceptować odmienności, jakie między nami istnieją. Nauki o człowieku dają nam fundament do wzajemnego zrozumienia i akceptacji. I teraz dopiero można zacząć rozważać, jak wyglądałoby nauczanie Jezusa Chrystusa w 2021 roku, bo to nauczanie musiałoby absolutnie brać pod uwagę realia otaczającego nas świata, tak jak wówczas Jego nauczanie brało pod uwagę realia lat trzydziestych wieku pierwszego. Natomiast pozostaje po dziś dzień uniwersalne.

Każdy niech spróbuje wyobrazić to sobie sam, ja natomiast mogę opowiedzieć dlaczego – moim zdaniem – pozostaje i będzie pozostawać uniwersalnym, dopóki ludzkość istnieć będzie. Przedzierając się przez kolejne epizody czynów i nauczania Jezusa Chrystusa, prześladowuje mnie wniosek, że wymagają one aktualizacji do naszych czasów, bo zmagamy się z czymś innym aniżeli tamci ludzie: bogaci i biedni, głodni i syty – my, w ponowoczesnym świecie również głodni i syty, ale nie tylko. I znowu: każdemu pozostawiam to do wyobrażenia, do rozważenia. Wyobrażenia są indywidualne, a ja nawet do własnej nie mam zaufania i pewności. Natomiast to, co tkwi w sercu, w jądrze nauczania Jezusa Chrystusa, dostrzegam tak:

Nie istnieje nic takiego poza człowiekiem, co do niego wchodzi i może go splamić. Tylko to, co z człowieka wychodzi, to jest to, co może go splamić.

W 2020 roku jesteśmy nie tylko bogaci i biedni, głodni i syty. Jesteśmy poza tym niekiedy głęboko i irracjonalnie nie-szczęśliwi, rozpaczliwie samotni, przerażająco zdehumanizowani w korporacyjnym wyścigu szczurów, mamy osobowości border, kochamy w niekoniecznie akceptowalny dla wszystkich sposób. To są przeważnie grzechy – według kanonu z trzydziestego roku pierwszego stulecia. I też nie mam pewności, ponieważ mogą to być grzechy dopisane do nauczania Jezusa przez kolejnych papieży i doktorów Kościoła. Tę samą wątpliwość wydaje się wyrażać arcybiskup. Ponieważ – dopowiem za arcybiskupa – nie są to grzechy, są to nasze intymności. A potępienie kogoś za jego intymność – dopóki ona nikogo nie krzywdzi – jest wprowadzeniem Kodeksu Hammurabiego w miejsce praw, których ponowoczesna Europa dochodziła przez stulecia, praw, w których zemsta została raz na zawsze pominięta jako humanistycznie niegodna, w których szaleństwo nie jest przesłanką do spalenia na stosie, a do udzielenia pomocy. Chrystus, przychodząc w 2021 roku, nauczałby inaczej, nawet jeśli mówiliby o tym samym. Z pewnością nie głosiłby takich norm obyczajowych, które byłyby narzędziem ucisku i zniewolenia. Jezus głosił miłość, nie spętanie i niewolę. Nie nadzorował i karał, a pocieszał i obdarowywał. Zdaje się, że to właśnie dostrzega wspomniany arcybiskup – że uczynienie z grzechu przestępstwa jest niedopuszczalnym nadużyciem nauki Jezusa Chrystusa.

Można popaść w zagubienie – przyznaję, i ja sam w nie popadłem. Niemniej istnieje nauka pierwsza: Ewangelie powtarzają zgodnie pewne słowa, które wypowiada Jezus, i te właśnie słowa są fundamentalne dla Jego nauki: nawet jeśli niemożliwe do realizacji przez nas, ułomnych, to przecież będące wskazaniem, którego zlekceważenie pozbawi nas nie tylko Jego łaski –

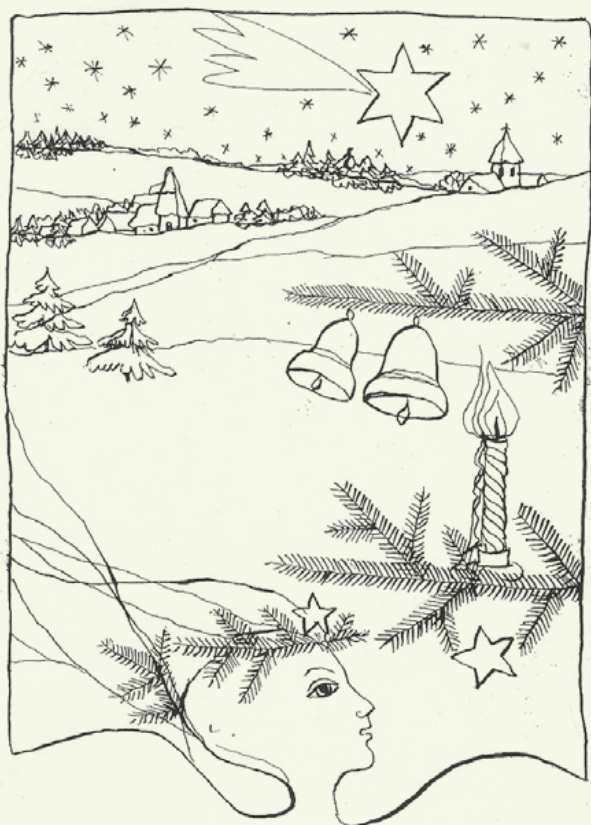


pozbawi nas tytułu do uważania siebie samych za ludzi godnych. Nie istnieje nic takiego poza człowiekiem, co do niego wchodzi i może go splamić. Nic, co zlego mnie od innych spotyka, żadne poniżenie, żadna niegodziwość, żadne cierpienie, żaden zły uczynek, żaden cios, żaden policzek nie plami mnie, nie poniża, nie ujmuje niczego mojemu człowieczeństwu. Tylko to, co z człowieka wychodzi, to jest to, co może go splamić. Wszystko złe, co innych ode mnie spotyka, każde ich poniżenie, każda moja niegodziwość, każde przeze mnie zadane cierpienie, każdy mój zły uczynek, każdy mój cios, każdy mój policzek plami mnie i poniża, ujmuje wiele mojemu człowieczeństwu.

Mnie! To nie jest skierowane do ciebie, do niej, do niego. To jest skierowane do mnie i to ja mam zacząć, nawet jeśli nikt z pozostałych nie uzna tej nauki za zobowiązującą. Ktoś musi być drugi – Jezus był pierwszy. Mnie! Egoizm jest pożądany. Pojmij, mówię do siebie i tylko do siebie, do nikogo innego. Nie do ciebie, nie do niej, nie do niego. Mówię do siebie.

John Lennon śpiewa o świecie, w którym pojęli wszyscy, a przynajmniej wielu. I teraz wyobraź sobie, że Jezus przyjdzie w najbliższe Boże Narodzenie. Imagine.

Alski



Wyobraź sobie taki świat

*Pomyśl o świecie
jest taki gdzie indziej,
w którym od urodzenia
do śmierci
jesteś zdrowy i bogaty,
bez pracy co cię wcześniej upodli
zanim uczłowieczy,
w którym każdy krok
jest bezpieczny, a kolejny
dzień listy przynosi
od wiernych przyjaciół.*

*Jest taki świat,
w którym twoja kobieta
jest najpiękniejsza
i tylko twoja,
a gdy odchodzi
zostawia ci życie
piękniejsze od marzeń.*

*Jest taka przestrzeń
między niebem a ziemią,
której Bóg nie zamyka
na klucz przed człowiekiem
więc nie ma w niej bezdomnych,
a dla głodnego
zawsze jest miejsce przy stole.
Grzech tutaj jest modlitwą
o skrzydłach skowronka.*

*Jest taki świat
gdzie indziej
i to jest jego okrutna
wada.*

IRENEUSZ KRZYSZTOF SZMIDT

Wszelkiego dobra: szczęścia, życzliwości od całego świata, serdeczności i mądrości od i dla przyjaciół, pogody ducha, zachwytu życiem i doświadczania bogactw natury z całego serca

Wam, naszym autorom, czytelnikom i pracownikom książek, w Boże Narodzenie i na Nowy Rok 2021, co by był wolny od wszelkiego choróbka, a zwłaszcza polskiej nienawiści życzą redakcja i redaktor naczelny „PEGAZA LUBUSKIEGO”

[...] Poczuł się samym sobą zaskoczony, kiedy wsiadał po raz pierwszy. Bo niemal wszystkie uczucia zniknęły: lęk, ciekawość, niecierpliwość – niczego takiego teraz w nim nie było. Zdmuchnęło również wyobraźnię: jak tam jest na górze. Ręce nagle przestały się pocić, odzyskał głos. Pozostało jedynie oczekiwanie na zdarzenia – zupełnie spokojne, ani nie hamowane, ani nie ponaglone.

Zdarzenia miały nadejść, on ich oczekiwał i tyle. Zajęcie miejsc, procedury startowe, ryk uruchomionego silnika, kołowanie do pasa, głos instruktora w słuchawkach, kolejne procedury, kilkadziesiąt metrów rozbiegu, zupełnie spokojne oddalanie się ziemi, lot. Po lądowaniu nie miał ochoty wsiadać – tak był oczarowany.

Tam było zupełnie inaczej niż tutaj; albo w inny jeszcze sposób: jego tutaj było tam. Najchętniej by nie wracał. Przecież można tam zamieszkać, anioły przebywają tam stale, a ptaki przeważnie. To pierwsze wrażenie, zmieniające radykalnie jego relacje ze światem, pozostało w nim do dziś. Pozostało chyba już na zawsze, bo nie ślabło w miarę upływu kolejnych godzin spędzonych w powietrzu, kolejnych miesięcy wiodących do uzyskania licencji, kolejnych nabywanych umiejętności, kolejnych pytań, czy może tego lub tamtego spróbować, kolejnych, często pełnych uśmiechu, przyzwalających kiwnięć głową instruktora i głosu w słuchawkach: „Możesz”.

Niektóre przygody Krzys zapamiętał tak precyzyjnie, że potrafił przeżyć je za każdym razem od nowa. W okolicach dziesiątej chyba lekcji latali wokół ładnie wypiętrzonego cumulusa, w prognozie były opady i nie wiadomo było, jak wysoko ten cumulus się kończy i co może z niego wynikać. Różnice temperatur wokół takiej rozbudowanej chmury powodują nieoczekiwane zmiany gęstości powietrza albo uskoki wiatru i nagle spadli – taka nieduża turbulencja. Wolant był jego, instruktor siedział z kamienną twarzą.

Wyprostował samolot, wszedł w lewy zakręt, zaczął się wznosić, dodał obrotów. Spadanie było fenomenalne.

– Możemy jeszcze raz?

– Nie. On źle wygląda. Wracamy.

– Szkoda. Fantastyczne to było. Cisza.

– Albo... dobra. Wejdz na pięć tysięcy.

Lewą spiralą wjechał na pięć tysięcy stóp, zmniejszył obroty i zaczął oblatywać cumulusa. Gdzieś ta dziura była.

Spadli jeszcze lepiej. Pchełka zawisa na lewym skrzydle, dodał obrotów, zaczął się śmiać i wtedy Janusz – instruktor – pchnął swój wolant do przodu. Pchełka nawet się nie zawahała – poleciała jak kamień w dół. Poczuł nieważkość, na ułamek sekundy świat wokół stał się czerwony.

„Do ziemi daleko” – pomyślał rozbawiony.

Wyrównał lotki i zliczając głośno sekundy, ściągał drążek na siebie. Kiedy pchełka przeszła do lotu poziomego, zmniejszył obroty.

– Lądujemy, stery moje – usłyszał w słuchawkach.

Janusz dopiero pod hangarem spojrzał na niego. Wyciągnął cięgło gazu, wyłączył silnik, zdjął słuchawki.

– Czegoś cię nauczyłem – powiedział. – Ale nie rób tego sam. Jeszcze nie. Za mało jeszcze umiesz, a już za bardzo to lubisz.

Wykonywał czwarte w swoim życiu lądowanie. Kiedy wyszedł z trzeciego zakrętu, Janusz zamknął gaz – śmigło zaczęło wiatrakować.

„No to ślizgamy się” – pomyślał. Delikatnie pochylił nos, samolot stopniowo tracił wysokość, przelecieli nad autostradą. Wszedł w zakręt – nic. Szybowali. Wyciągnął klapy. Samolot zwolnił, ale prędkości miał ciągle dość. I cisza. Nad pas drzew na skraju lotniska wszedł trochę za nisko, pociągnął drążek na siebie, odezwał się brzęczyk przeciągnięcia, wyrównał. Szybował jak ważka – był tą ważką, polatującą nad pasem. Było bezwietrznie, parę metrów nad pasem poruszył lotkami w prawo i lewo – zakołysał się z dziecięcą radością i wtedy Janusz wcisnął przepustnicę na maksa. Jedno wycie. Pchełka wyrwała w górę, brzęczyk przeciągnięcia odezwał się raz, odepchnął drążek i wyrównał lot. Schował klapy.

– Co teraz?

Usłyszał śmiech. – Idź do diabła!

Tak nauczył się latać.

Egzamin teoretyczny zdawał w listopadzie. W Warszawie, w Urzędzie Lotnictwa Cywilnego. Ubrał się ładnie. Jadąc do Warszawy, przepowiadał sobie wszystkie regułki i przepisy... i obserwacje. Bo od początku przygody z lataniem przyglądał się ptakom. Właściwie nie lubił ptaków – były potomkami drapieżnych gadzin o zębatych paszczkach, ale latały, zatem były lepsze – umiały coś, czego on dopiero się uczył. Nie, nie umiały – były w to wyposażone.

Przychodziły na świat i musiały jedynie to coś uruchomić. I znowu, nie umiejętność – instynkt latania. Dobrze wiedział, że do instynktu mu daleko. On ciągle jeszcze musiał pomyśleć, co zrobić, a ptak to robił – po prostu. Ale... zachwycało go, że rozumie, co ptak robi, aby znaleźć się tam albo tam i mało tego! – wie, co ptak będzie musiał zrobić, jeśli już podjął i zasygnalizował jakąś decyzję. Jeżeli ptak w poziomym locie opuszcza jedno skrzydło i unosi drugie, to za chwilę zacznie ostro przyspieszać. Ale jeśli polecą po łuku w dół, nie będzie machał skrzydłami, bo grawitacja nada mu dodatkową prędkość. Natomiast jeśli zaraz po wejściu w zakręt zamacha skrzydłami, będzie leciał w poziomie albo wznosił się. Ptak musi nadać sobie dodatkową prędkość, aby zrównoważyć powstającą siłę odśrodkową. Jeśli jej nie zrównoważy, zacznie spadać lub co najmniej straci stabilność lotu. Albo: ptak leci w kierunku komina z wyraźnym zamiarem, aby tam usiąść – świetne do takich obserwacji są gawrony. Gawron szybuje, nie porusza rozłożonymi jak najszerzej skrzydłami, kilka metrów przed kominem gwałtownie zmienia ich ustawienie z poziomego na bardziej pionowe, energicznie nimi macha, jakby zamiatał powietrze przed sobą i już siedzi na kominie, składa skrzydła, przygląda dziobem pióra. Co gawron robił? Zwiększył powierzchnię skrzydeł, czyli wyciągnął klapy, aby był możliwy lot na jak najmniejszej prędkości, krótko przed przyziemieniem zmienił kąt natarcia, aby zwolnić jeszcze bardziej, skrzydłami włączył wsteczny ciąg – jak w silnikach lotniczych, kiedy się nimi hamuje – i na końcu przyziemił – usiadł na kominie. Genialne! Tym bardziej, że gawron żadnych egzaminów nie zdaje, on po prostu lata. W oparciu o tę samą aerodynamikę.

Zdał. Na czwórkę z plusem. Z egzaminem praktycznym nie zdążył. [...]

Najpierw myślę: normalnie „Moda na sukces” – biskup lepi pierogi z matką byłej kochanki, a niedługo potem ma romans i dziecko z córką jej obecnego partnera. Pilot ratuje życie dostojnikowi kościelnemu, a ten mu w zamian bałamuci córkę, niewiele młodszą od flamy, ich wspólnej, choć nie jednocześnie.

Potem? Nieeeee, ten biskup to jednak Ralph de Bricassart – ksiądz, który staje przed życiowym dylematem: piąć się w hierarchii kościelnej czy zrezygnować z kapłaństwa dla kobiety, którą pokochał? Nie, Rafał u Alskiego nie ma takich rozterek. On chce i baby, i co najmniej purpurowo-sukienkowej kariery. Amelia to Meggie Cleary – bohaterka serialu, który polscy widzowie w latach 80. śledzili we wtorki z zapartym tchem, by w niedzielę usłyszeć księdza grzmiącego z ambony: „Wyłączcie telewizory!”.

Tymczasem u Alskiego biskup agnostyk, żądny kariery w Kościele, wymiotuje nad sedesem po pełnym nienawiści kazaniu, które jest jednocześnie samobiczowaniem. Amelia ma zakazany romans z biskupem, który sam się siebie zaparł. Potem leczy serce i umysł po namiętym związku z księdzem, który określa siebie jako opętanego przez szatana. W sam raz Lucyfer Morningstar. Ale jest jeszcze jeden – ludzki szatan gej, aseksualny tytan intelektu, bliski definiowania przyszłości. To on jest przewodnikiem Amelii po Watykanie i jego przepastnych tajemnicach.

Amelia i Rafał to wyjątkowa miłość, która skończyła się pogardą, a odrodziła w dozogonnej przyjaźni. I tu wkracza Krzysztof – atrakcyjny pilot po pięćdziesiątce, z zawodu lekarz, człowiek wielu talentów, w tym dobry Samarytanin. To on zasiądzie za sterami i wpłątany w intrygę godną Machulskiego, uwiezie kogo trzeba w bezpieczne miejsce.

„Lot” Jerzego Alskiego to układ taneczny i wielowątkowy traktat. Mnóstwo w nim przywołań literackich i filmowych. Tańczy więc Krzysztof z Amelią, Amelia z Rafałem, Rafał z Moniką, córką Krzysztofa. Rodzice Amelii przyjmują w domu byłego zięcia-biskupa i przyszłego zięcia-lekarza. I tak sobie myślę: „Lot” to nie tylko utopia kościelno-państwowa, ale i obyczajowa, bo takiej tolerancji, jak w domu Amelii, nigdzie nie znajdziecie.

A poza tym? Anatomia nienawiści. Podejrzany o pedofilię duchowny, pobity prawie na śmierć przez oprawców spuszczonego z łańcucha przez hierarchów Kościoła. Tłuką wyklętego biskupa, bo mówi innym głosem. Trzy łyse karki to dobrzy chrześcijanie, dający świadectwo, a jeden z nich nawet nawróci się na tę naprawdę dobrą drogę. Z rąk siepaczy ksiądz zostaje uratowany przez jedną ateistkę i jednego agnostyka. Biskup zmartwychwstały w Niedzielę Wielkanocną! Fortel godny Dana Browna.

Czego my tu nie mamy... Jest funkcja falowa świata przedstawiona jako współczesna nauka mówiąca o Bogu. W jej interpretacji wolna wola to redukcja funkcji falowej. Czyli od nas samych zależy, jaki będzie świat. I zaraz za nią pozazmysłowa przepowiednia przyszłości, neuropsychologia, wizjonerski sen i teoria lustrzanych neuronów. Dzięki wyjątkowej więzi mistyczny kochanek odwiedza Amelię we śnie. Ba! On się z nią nawet kocha!

A potem wyznanie wiary: „Wierzysz w Boga? Tak. Z pewnym zastrzeżeniem. Staram się być dobrym człowie-

kiem, nieść dobro, tak nakazuje Bóg, którego naukę wyznaję. Natomiast jestem przekonany, że nigdy nie pojmem Boga na tyle, aby próbować Go opisać” – mówi Rafał.

Z „Lotu” płynie trójprawda Alskiego o miłości.

Prawda 1: „Nie ma namiętności dostatecznie wielkich, żeby większe nie mogły zaistnieć, że największa miłość nie oznacza, że jeszcze większa nie czeka za progiem”.

Prawda 2: „Nie żartuje się z miłości”.

Prawda 3: „Nikt nas nie pokona, dopóki miłość jest na ziemi”.

A rozmowa byłego kochanka z aktualnym o kondycji Kościoła i Szekspirze? Majstersztyk. Bohaterowie w ogóle dużo ze sobą rozmawiają. I to na jakie tematy? Jest i wyznanie wiary, i traktat wielofilozoficzny. Do tego dyskursy filozoficzne w kręgu rodzinnym.

I zapowiedź rewolty w Kościele. Bo tak, jak ryba psuje się od głowy, tak państwo zostanie uzdrowione od Kościoła. Bo co wiernym przeszkadza? Czy to, że „duchowni nie mówią, tylko przemawiają, nie chodzą, tylko przechadzają się, nie obejmują, tylko pochyłają?”.

„Lot” jest pełen prawd, nie tylko o miłości: „To nie jest kraj dla wszystkich, nawet biskup może być gorszym sortem”, „Żyjesz w zupełnie innej Polsce. Ludzie lubią nienawidzić”, „Kościół mnie wypułł, państwo chciało zgładzić, zatem stałem się homo sacer”, „Samotność jest darem i przywilejem w tym zatłoczonym do niemożliwości świecie”, „Rzeczywistość tego kraju przekroczyła poziom demoralizacji...”.

A dalej? „Amoralność to moralność, brak zasad to zasada, nieuczciwość to uczciwość”. „Mojsza jest mojsza niż twojsza” – dodałby Adaś Miauczyński, bo „wszyscy jesteśmy źli, nawet jeśli rodzimy się dobrzy, chwilę potem stajemy się źli”.

Więc „o co w tej aferze chodzi? O władzę. Władza deprawuje, władza absolutna deprawuje absolutnie...” [...] Tu nie chodzi o religię, a już na pewno nie o Boga, tu chodzi o władzę”. Koniec świata!? Nie – inkwizycja XXI wieku.

Alski to artysta-zongler i doskonały reżyser. Czerpie garściami z różnych konwencji. Doprawia raz muzyką, raz dyskursem filozoficznym, to znowu pożądaniem. Uruchamia siły nadprzyrodzone, pozwala śnić piękne, namiętne sny.

Przesłanie płynące z „Lotu”?

Nadchodzi Kościół wszystkich ludzi. Przepowiednia to czy groźba?

Ewa Hoffmann-Skibińska



GORZOWSKIE MOTYLE mają właścicieli!

Inauguracja sezonu artystycznego 2020/2021 była też okazją do wręczenia medali i odznaczeń Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

INAUGURACJĘ SEZONU 3 października 2020 r. otworzył w Małej Sali Filharmonii Gorzowskiej Prezydent Miasta Jacek Wójcicki – *Ze względu na pandemię to był i dla kultury wyjątkowy czas. Trzeba było znaleźć nowe formy dotarcia do odbiorcy i powstała bogata oferta online – powiedział prezydent. – Nie wiem, co przyniosą następne miesiące, ale wszystkim ludziom gorzowskiej kultury serdecznie dziękuję za pracę w trudnych warunkach, która dawała i daje nadzieję na lepsze jutro. Życzę Wam zdrowia, wytrwałości i nieustającej pasji, bo kultura ważna i potrzebna jest zawsze.*

Ze względu na trwającą pandemię uroczystość w gorzowskiej filharmonii odbyła się w bardzo wąskim gronie: nagrodzonych, odznaczonych, przedstawiciela wojewody lubuskiego, pracowników Wydziału Kultury Urzędu Miasta oraz obsługi technicznej wydarzenia. Transmisję z gali można było obejrzeć online na facebookowym profilu miasta, filharmonii oraz na antenie Telewizji Gorzów.

Prezydent przyznaje każdego roku maksymalnie dwie nagrody kulturalne. Laureatów wskazuje spośród trzech kandydatur rekomendowanych przez Kapitułę, która w tym roku oceniała pięć złożonych wniosków.

Do grona ekspertów doradzających prezydentowi zostało powołanych sześć osób: prof. AJP Dariusz Rymar – dyrektor Archiwum Państwowego w Gorzowie Wielkopolskim, przewodniczący Kapituły; dr Wojciech Kuska – dziennikarz,

wydawca, dokumentalista, laureat nagrody w 2017 r.; Marian Łazarski – fotografik, prezes Gorzowskiego Towarzystwa Fotograficznego, laureat nagrody w 2004 r.; Józef Kodź – artysta plastyk, członek Związku Polskich Artystów Plastyków; Agnieszka Kopaczyńska-Moskaluk – dziennikarka, literatka, animatorka kultury; Albert Madej – radny Rady Miasta Gorzowa Wielkopolskiego, muzyk, animator kultury, członek Orkiestry Dętej OSP Siedlice.

MOTYLE PREZYDENTA MIASTA GORZOWA otrzymali:

LECH DOMINIK – od 1986 roku pracownik Muzeum Lubuskiego w Gorzowie Wielkopolskim, w którym kolejno kierował: Pracownią Dokumentacji Fotograficznej i Reprografii, Działem Techniki, Żeglugi Śródlądowej, Działem Naukowo-Oświatowym oraz Działem Edukacji i Promocji. Aktualnie kieruje filią muzeum – Spichlerz.

Jest autorem wielu wystaw o tematyce artystycznej i historycznej oraz artykułów i tekstów dotyczących różnych aspektów fotografii (m.in. dagerotypów). Był reporterem „Gazety Lubuskiej”, a także współpracował z lokalnymi czasopismami: „Ziemią Gorzowską”, „Gazetą Nową”, „Kurierem Szczecińskim”, „Traktem” i „Aspektami”. Prowadził Agencję Reklamową IMAGE zajmującą się fotografią reklamową i wydawaniem katalogów. Współpracował z projektantką Ewą Minge, fotografując kilkanaście jej kolekcji.

Od wielu lat jest jurorem licznych konkursów fotograficznych. W latach 1996-2010 prowadził wykłady i zajęcia z fotografii



w Liceum Sztuk Plastycznych w Gorzowie Wlkp. Od 1980 roku uczestniczy w wielu konkursach i wystawach krajowych i zagranicznych, zdobywając liczne nagrody i wyróżnienia, m.in. w Niemczech, na Litwie i w Szwajcarii. Jest członkiem Związku Polskich Artystów Fotografików.

Był pomysłodawcą i moderatorem cyklu spotkań z artystami „Sztuka-artysta-dzieło”, które w latach 2011-2014 przybliżyły publiczności sylwetki artystów gorzowskich.

Jest autorem dwóch tomów albumu „Waldemara Kućki spacer po Gorzowie”, wydanych przez Nadwarciańskie Towarzystwo Upowszechniania Dziedzictwa Kulturowego. Albumy, które zawierają zdjęcia Gorzowa Wielkopolskiego z lat 60. i 70. XX wieku, odniosły ogromny sukces. Za tom wydany w 2018 roku Lech Dominik został uhonorowany Lubuskim Wawrzynem Naukowym za najlepszą książkę popularnonaukową. W roku 2019 Lech Dominik otrzymał od ministra kultury i dziedzictwa narodowego odznakę honorową „Zasłużony dla Kultury Polskiej”.

MAŁGORZTA SZWAJLIK – od 2011 roku pełni funkcję kierownika działu pracy artystycznej w Centrum Edukacji Artystycznej – Filharmonii Gorzowskiej. Pomysłodawczyni i autorka projektu artystyczno-edukacyjnego adresowanego do dzieci pn. „Jazda coolturałna”, od 2009 roku realizowanego w przestrzeni miejskiej z udziałem dzieci i artystów reprezentujących różne dziedziny sztuki.

Redaktorka i autorka tekstów publikacji wydawanych przez Filharmonię Gorzowską, między innymi przewodnika edukacyjnego dla dzieci „Co jest grane w filharmonii?”.

Od 2015 roku pisze libretta do realizowanych przez filharmonię musicali: „Alicja w Krainie Czarów”, „Pinokio”, „Akademia Pana Kleksa”, „Dogonić Pippi” oraz „Przygody w Krainie Oz”, a także przygotowywanego musicalu pt. „Piotruś Pan”. Jest autorką edukacyjnych książek dla dzieci, m.in. „Wesoła orkiestra” czy „Nutka Zosia na tropie”, a także redaktorką wszystkich wydanych przez filharmonię katalogów. W 2019 roku została laureatką I nagrody w Konkursie na Operę dla Dzieci i Młodzieży organizowanym przez Stowarzyszenie Autorów ZAiKS oraz Teatr Wielki-Opera Narodowa. Napisała monodram „Mistrz” na podstawie powieści Michała Bułhakowa „Mistrz i Małgorzata”.

ODZNACZENIA MINISTRA KULTURY I DZIEDZICTWA NARODOWEGO 2020

Inauguracja Sezonu Artystycznego 2020/2021 to również uroczystość wręczenia odznaczeń państwowych dla osób szczególnie zasłużonych dla kultury.

ZŁOTY MEDAL „Zasłużony Kulturze Gloria Artis” otrzymał **IRENEUSZ KRZYSZTOF SZMIDT**.

Odnaczony jest poetą, dramaturgiem, reżyserem, krytykiem teatralnym i wydawcą. Jest także prezesem gorzowskiego Oddziału Związku Literatów Polskich, laureatem m.in. Lubuskiego Wawrzynu Literackiego, Nagrody Kulturalnej Prezydenta Miasta Gorzowa Wlkp. – „Motyla” w 2015 roku oraz Nagrody Kulturalnej Marszałka Województwa Lubuskiego. Odnaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, Krzyżami Zasługi, odznaką „Zasłużony Działacz Kultu-



ry” i medalami (brązowym i srebrnym) „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”. W 2020 roku obchodził 85 rocznicę urodzin (16 września), 65-lecie pracy twórczej i 55-lecie członkostwa w Związku Literatów Polskich.

BOGUSŁAW DZIEKAŃSKI otrzymał **SREBRNY MEDAL „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”**.

Jeden z najwybitniejszych w Polsce animatorów kultury jazzowej, od 1980 roku dyrektor Jazz Clubu „Pod Filarami”. W 1983 roku zorganizował w Gorzowie po raz pierwszy koncert Pomorskiej Jesieni Jazzowej. Od roku 2005 impreza ta nosi nazwę Gorzów Jazz Celebrations – Klucz do Kariery. W 1986 roku rozpoczął organizację edukacji muzycznej dzieci i młodzieży pod nazwą Mała Akademia Jazzu /MAJ/, którą prowadzi do dziś. MAJ to unikalny w skali europejskiej przejaw edukacji jazzowej i popkulturowej, praktyka nowoczesna i innowacyjna. Mała Akademia Jazzu, która została zainicjowana w Gdańsku w 1985 roku przez Polskie Stowarzyszenie Jazzowe, w większości ośrodków, w których istniała – upadła. Wybronił się jedynie Gorzów dzięki uporowi Bogusława Dziekańskiego, który organizuje zajęcia już ponad 30 lat. MAJ wykształciła ponad 30 tysięcy absolwentów – młodych słuchaczy. W 2019 roku ukazała się książka „Jedzie Pan Jazz, edukacja jazzowa i popkulturowa w perspektywie antropologicznej”, podsumowująca i analizująca dorobek gorzowskiej Małej Akademii Jazzu. Wcześniej Bogusław Dziekański został odznaczony brązowym medalem „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, jest również laureatem „Motyla” – Nagrody Kulturalnej Prezydenta Miasta Gorzowa Wielkopolskiego. W 2018 roku został jednym z ambasadorów kampanii GORZÓW #Stąd Jestem. W 2020 roku mija 40 lat jazzowej działalności Jazz Clubu prowadzonego nieprzerwanie przez Bogusława Dziekańskiego.

JAN MIERZYŃSKI otrzymał **BRĄZOWY MEDAL „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”**.

Aktor, wokalista, reżyser. Pochodzi z Płocka, z aktorskiej rodziny, dziadek i tata również byli aktorami. Od 2004 roku aktor gorzowskiego Teatru im. J. Osterwy. Prowadzi zajęcia teatralne dla młodzieży w Strzeleckim Domu Kultury, gdzie dzieli się swoją wiedzą i doświadczeniem. W 2018 roku jego grupa teatralna wygrała Ogólnopolski Przegląd Teatralny POKOT. W 2017 roku wydał płytę pt. „Życie raz”, opartą na twórczości płockiego aktora i poety Witolda Mierzyńskiego (nieżyjącego ojca Jana). Doceniony przez gorzowską publiczność, otrzymał nagrodę dla najpopularniejszego aktora „Pierścień Melpomeny”.





ODZNAKĘ HONOROWĄ „ZASŁUŻONY DLA KULTURY POLSKIEJ” otrzymali:

MAŁGORZATA PYTLAK

Doktor archeologii, kustosz dyplomowany, kierownik filii Muzeum Grodu Santok. Nazywana jest „specjalistką od garnków”, ponieważ jej praca doktorska dotyczyła m.in. naczyń kulistodennych. Autorka publikacji naukowych, m.in. pt. „Późnośredniowieczny warsztat garncarski ze Smolnicy. Rekonstrukcja procesu wytwarzania naczyń” oraz „Późnośredniowieczny cmentarz przy kościele św. Jerzego w Gorzowie”. Publikuje również artykuły naukowe w „Nadwarciańskim Roczniku Historyczno-Archiwalnym”. Prowadzi lekcje muzealne dla dzieci.

MAŁGORZATA SZWAJLIK

Absolwentka filologii polskiej. Pracownik Centrum Edukacji Artystycznej – Filharmonii Gorzowskiej. Kieruje działem organizacji pracy artystycznej. Autorka przewodnika edukacyjnego dla dzieci pt. „Co jest grane w filharmonii?”, który zawiera m.in. wiersze i rymowanki jej autorstwa. Jest autorką książek z wierszami dla dzieci pt. „Wesoła orkiestra” i „Nutka Zosia na tropie”. Napisała libretta do kilku musicali dla dzieci, wystawianych co roku w Filharmonii Gorzowskiej. W 2019 roku napisała libretto do opery „Salija”, które zostało uznane za najlepsze w konkursie na operę dla dzieci, organizowanym przez Stowarzyszenie Autorów ZAiKS oraz Teatr Wielki – Operę Narodową. Opera ma zaplanowaną premierę w CEA-Filharmonii Gorzowskiej.

EDYTA MILCZAREK

Aktorka dramatyczna Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie. Debiutowała na gorzowskiej scenie w przedstawieniu pt. „Stachuriada. Chodź, człowieku, coś ci powiem...”. Zagrała w wielu spektaklach, m.in. Poldę w „Teatrze manekinów”, Zeliwę w „Księżniczce Turandot”, Mary Warren w „Czarownicach z Salem”, wcieliła się w Zieloną Gęś w „Teatryku Zielona Gęś”, zagrała Małą w „Obrażonych”, tytułową Antygonę w dramacie Sofoklesa, Anielę w „Ślubach panieńskich”, panią Medlock w „Tajemniczym ogrodzie”. Zagrała też tytułową rolę w przedstawieniu „Złota Kaczka” i Estrellę w sztuce „Życie jest snem”. Jest także aktorką śpiewającą. Piosenki w jej wykonaniu można usłyszeć w przedstawieniach teatralnych, m.in. w „Złotej Kaczce” (muzyka Piotr Rubik) oraz programach i recitalach artystycznych.

W swoim dorobku ma też epizody i role filmowe. Zagrała w filmie „Rozdarcie, czyli Gombro w Berlinie” (reż. Wiesław Saniewski), w serialach telewizyjnych „Na dobre i na złe”, „Pierwsza miłość” oraz „Policjanci i policjantki”.



BARTOSZ BANDURA

Aktor, tancerz. Pochodzi z Drezdenka. Absolwent Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej w Krakowie. Od 2013 roku aktor Teatru im. J. Osterwy w Gorzowie Wlkp. Wystąpił dotąd w 26 rolach, także reżyserował. Odpowiada również za ruch sceniczny w wystawianych przez teatr spektaklach. Jest członkiem grupy hiphopowej Sinior Family, znany pod pseudonimem BBoySkoora. W 2019 roku uczestniczył w warsztatach w ramach „Battery Festiwal” w Rejkiawiku na Islandii. Umiejętności nabyte podczas warsztatów i kursów wykorzystuje w wielu projektach artystycznych, między innymi reżyserując spektakle. Laureat kilku nagród teatralnych, stypendysta Miasta Gorzowa. W 2014 roku znalazł się w prestiżowym „Subiektywnym spisie aktorów teatralnych”, prowadzonym przez znanego krytyka teatralnego Jacka Sieradzkiego.

ADWENTOWY CZAS
mamo wróciłem zgas
światło
już sam potrafię
czuć

DO WYOBRAŻENIA
wieczera wigilijna na
telefon łamiemy się
nie opłatkiem

WIGILIA W CZASIE PANDEMII
Jaka będzie, wielu sobie zadaje
pytania. Na pewno pod jednym
dachem i wśród bliskich.
Ale ta lista bliskich jest długa,
czyli znowu będą się urywały
telefony.
Proszę, ubierz się odświętnie,
zasiądź do stołu. I czekaj.

Jako jubilat i laureat Złotej „Glorii Artis” składam przyjacielom podziękowania płynące z całego serca i doznogonnej wdzięczności za piękne życzenia przekazywane w przeróżnej formie i treści, proste jak myśl i zmyślnie efektowne jak w filmie *Potrójny jubileusz Ireneusza Krzysztofa Szmidta* (<https://www.youtube.com/watch?v=7gYIdfeQcT0&feature=youtu.be>) przygotowanym przez ekipę i pod dowództwem Sławomira Szenwalda, dyr. WiMBP im. Zb. Herberta: Krystynie Sibińskiej, Grażynie Wojciechowskiej, Janowi Tomaszewiczowi, Eugeniuszowi Kurzawie, Robertowi Rudiakowi, Annie B. Dominiak, Joli Karasińskiej, Łucji Fice, Łucji Marczyk, Jerzemu Hajdudze, Romanowi Habdasowi, Fredowi Głodzikowi, Krzysztofowi Ansilewskiemu, Ludwikowi Lipnickiemu, Markowi Piechockiemu, Edwardowi Korbanowi, Lidce Przybyłowicz, Ewie Rutkowskiej, Markowi Lobo Wojciechowskemu, Annie Żłobińskiej, córce Katarzynie, wnuczce Idzie i małżonce Krystynie. A poza tym spektakularnym filmem dziękuję także: prezydentowi Gorzowa Jackowi Wójcickiemu z całą Jego ekipą do spraw kultury, Markowi Wawrzekiewiczowi z Biurem Zarządu Głównego ZLP, koleżankom i kolegom „piśmiennym” – m.in. red. Hani Kaup, Renacie Ochwat, Andrzejowi Pierzchale i Alfredowi Siateckiemu oraz wszystkim bliższym i dalszym znajomym na Facebooku i innych mediach społecznościowych. Także wielu moim byłym uczniom i wychowankom kursów teatralnych i warsztatów literackich.

Ireneusz K. Szmidt

TYLE BYŁO, A NIE MA, TERAZ JUŻ NIE MA

Renata O. – Irek, Złota „Gloria Artis”, którą dostałeś na otwarciu nowego sezonu kulturalnego – najważniejsza polska nagroda kulturalna, to dopiero druga, po Edwardzie Dębickim, w mieście. To ukoronowanie twojej kariery?

Irek K. S. – Jeśli przyjąć, że jest to mój ostatni jubileusz, czyli 85-lecie, to na pewno tak (śmiech).

– **Nie zakładamy, że ostatni.**

– Jak jeszcze pięć lat pożyję, to może coś tam jeszcze skapnie. Choć już brylantowej „Glorii” nie ma (śmiech). A serio, ciągle jestem przecież aktywny, twórczy. Bagaż z przeszłości jest stale uzupełniany i coraz cięższy. I choć ostatnio trochę zdrowie mi szwankuje, musiałam się na początku roku rehabilitować, ale wyszedłem z tego. Mam nadzieję, że jeszcze coś zrobię.

– **Powiedzieć o tobie poeta, to jest za mało albo prawie nic. Jesteś poetą, dramaturgiem, krytykiem literackim, bywasz reżyserem teatralnym.**

– To mój główny zawód.

– **No właśnie, człowiek orkiestra. Jak się zaczęła twoja droga z literaturą?**

– Zaczęło się od poezji. Pierwsze zauroczenie licealne, bo wtedy napisałem wierszyk dla pewnej dziewczyny, która nosiła takie długie dwa warkocze. Uczyłem się w Zgierzu, ale często bywałem w Łodzi na treningach koszykówki w YMCE. Kiedyś odkryłem na ul. Mickiewicza 8 Dom Literatury. Tam mieścił się między innymi sekretariat Związku Literatów Polskich, tam też poznałem młodych poetów. To był początek lat 50. ubiegłego wieku, w 1953 roku zrobiłem maturę, później przyjechałem na studia do Szczecina i już zostałem. Zostałem przyjęty do Koła Młodych. I już na studiach, na budownictwie lądowym Wyższej Szkoły Inżynierskiej (po roku już na Politechnice), założyłem najpierw gazetę ścienną, która się nazywała „Błyskawica”. Oczywiście za zgodą rektora uczelni. Zorganizowałem zespół redakcyjny, w redakcji znalazł się mój kolega z liceum Rysiek Reichert, który rok wcześniej zaczął studia, ale na budownictwie wodnym.

– **Ty mi chcesz powiedzieć, że jesteś inżynierem z wykształcenia?**

– No nie, choć OMC (śmiech) (O mało co). Po piątym semestrze nie chciało mi się douczać do poprawki z matematyki i uciekłem stamtąd. Ale już też miałem na koncie powołanie Teatru Studenckiego „Skrzat”. No i dlatego też zacząłem więcej pisać dla teatru. To był czas, kiedy czytałem dużo o teatrze, ale też jeździłem do Warszawy do STS, do Gdańska do Bim Bomu, do łódzkiego „Pstrąga”. Wiesz, „Skrzat” był generalnie czwartym teatrem studenckim powołanym w Polsce, a ja zaprzyjaźniłem się na kilka lat właśnie z „Pstrągiem”. Tam spotkałem Jerzego Antczaka, który był autorem sukcesów tego teatru, prowadził ćwiczenia aktorskie i reżyserował spektakle. Poznałem wówczas wielu ciekawych ludzi z teatru i to oni mnie dopingowali, bo w kółko mówili – No dobrze, a co w Szczecinie? Nic nie ma? W końcu powstał teatr i w Szczecinie. Wyobraź sobie, mieliśmy premierę w 1956 roku, a przyczyną były wypadki węgierskie. Cenzura wówczas zęby zaciskała, ale to był jednak taki okres, kiedy sporo uchodziło. Zawsze cenzura nam coś tam skreślała, a my jednak swoje robiliśmy.

– **Długo zostałeś na tej ścieżce teatralnej?**

– Długo. Bo potem był kabaret „Okaryna”, teatr poezji „Pino-kio”, do tego dochodzi Pantomima Politechniki Szczecińskiej, byłem jej założycielem, ale uciekłem od nich, bo jednak słowo okazało się ważniejsze. Aktorzy jednak pociągnęli sprawę dalej i pół Europy zwiedzili.



– **A potem minęło trochę lat i znalazłeś się w Gorzowie.**

– Nie tak nagle. Przyjeżdżałem tutaj już wcześniej. Za dyrektora Andrzeja Rozhina u Osterwy bywałem na każdej premierze. Byłem zaprzyjaźniony z Andrzejem, kibicowałem jego teatrowi. Pisałem wówczas o tym teatrze w „Głosie Szczecińskim”. Mało tego, kiedyś z Rozhinem zrobiliśmy koncert w amfiteatrze. Kiedy Andrzej odszedł z teatru, to rzeczywiście rzadziej się pojawiałem.

– **A potem spotkałeś swoją obecną żonę, Krystynę Kamińską, i zostałeś...**

– Dokładnie spotkałem ją w Myśliborzu na SMAK-u (Spotkania Młodych Autorów i Kompozytorów), ale chyba też wcześniej gdzieś się widywaliśmy podczas pracy w Towarzystwie Kultury Teatralnej. Bardziej jednak będzie ten SMAK. Bo tam właśnie w początkach lat 90. coś zaiskrzyło. Byliśmy razem w jury, długie godziny rozmów o teatrze, kulturze i tak to wyszło.

– **I jaka niezwykła historia. Krystyna spod Łodzi, ty spod Łodzi, a spotkaliście się pod Gorzowem. Pamiętam, jak pojawili się w Gorzowie, to życie literackie nabrało rumieńców. Bo tak po prawdzie, to właściwie wcześniej było ono mocno rachityczne.**

– Postanowiłem sobie, że nie będę się bawił w teatr, tym bardziej że tu teatru nie brakowało. Powstała „Gazeta Nowa”, potrzebowali recenzenta teatralnego. I od tego się zaczęło.

– **Ale ja zmierzam do tego, że ty rozruszałeś to niemrawe środowisko, pokazałeś, że w takim mieście jak Gorzów też mieszkają ludzie, którzy piszą, i to czasami nieźle.**

– Pamiętaj, że ja byłem członkiem Związku Literatów Polskich i to już ładnych parę lat....

– **Wiem, ale to tobie się zechciało tych wszystkich pisarzy i poetów wyciągnąć z jakiegoś niebytu.**

– Jerzy Zysnarski na imprezie w bibliotece, w sali kominkowej, zimą 2005 roku powiedział takie słowa: „Irek, ty jesteś głupi, ty sobie konkurencję wychowujesz”. Na co ja, że tak, bo jak bez konkurencji żyć.

– **No tak, ale przez twoje i Krystyny ręce oraz przez wasze wydawnictwo przeszło wielu ludzi, którzy się w jakiś sposób zaznaczyli. Jak trafialiście na tych ludzi?**

– Pamiętaj, że czynnikiem kulturotwórczym dla każdego środowiska jest pismo, gazeta, magazyn. My założyliśmy pismo „Arsenał Gorzowski”. Było to pismo nie tylko informacyjne, jak dziś SPAM, ale opiniotwórcze. Przyznawaliśmy nagrody, robiliśmy różnego rodzaju akcje. Sama zostałam laureatką naszego „Ostrego Naboju” za artykuł w „Wyborczej”.

– **Jak „Arsenał” przestał wychodzić, to zwyczajnie czegoś zabrakło.**

– Potem jeszcze przez jakiś czas próbowaliśmy robić takie skontrum roczne, wyliczaliśmy imprezy, ale to też przestało mieć sens. To nie było gorące, nie było na bieżąco. W „Arsenale” była wkładka plastyczna – kolorowa, na dobrym papierze. Były recenzje wydarzeń, jakaś polemika. Pismo żyło. Dlatego też powstał WAG – Wydawnictwo Artystyczno-Graficzne Arsenał. A jeszcze później „Pegaz Lubuski” i Biblioteka Pegaza Lubuskiego,

którego wydawcą jest do dziś nasz Oddział ZLP oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna. I wyobraź sobie, że w ramach tej Biblioteki, Biblioteki Pegaza, wydałem 99 książek. Wracam do tego, że pismo jest tym czynnikiem kulturotwórczym. Środowisko nie musi pisać do szuflady. Mam na myśli tych utalentowanych. I ci ludzie odnajdują drogi do środowiska. Wielu z nich zaczęło pisać na internetowym portalu Szuflada. Młodzi ludzie trafiali też do mnie na warsztaty literackie, które dzięki wsparciu Ewy Rutkowskiej prowadziłem w Grodzkim Domu Kultury. Piętnaście lat to trwało. Pamiętaj, że bardzo dużo ludzi tam debiutowało. Przecież tam zaczynała pisać Beata Patrycja Klary, dziś uznana poetka. Podobnie jest z Markiem Lobo Wojciechowskim, Karolem Graczykiem, Agnieszką Moroz i wielu innymi.

– **Ale teraz środowisko nagle wytraciło ten impet.**

– Młodzi poszli na studia i tu nie wrócili. Ale co ważne, nigdy jakoś nie tracili z nami kontaktu. Ciągłe mam od większości z nich teksty. Ciągłe przysyłają. Zresztą wystarczy otworzyć „Pegaz”, aby się przekonać. Wiesz, zabawnym jest, że im trudniej się spotkać, to tym pismo grubieje, tym więcej tekstów w nim jest. Przecież ostatnie „Pegazy” mają po 40 stron.

– **Jak ci się chciało to wszystko animować. Przecież to ogrom pracy. W kółko coś trzeba z tymi ludźmi robić. Trzeba czytać ich teksty, trzeba poprawiać, trzeba walczyć z warsztatem. To jest niemal praca na ugorze.**

– Spotkania odbywały się raz w miesiącu. Inna rzecz, że ja się z nimi spotykałem znacznie częściej, przy różnych okazjach. Fakt, ciągle miałem komputer pełen różnych tekstów, oryginałów, moich korekt, fakt, dużo pracy. No i ja dla swoich rzeczy miałem bardzo mało czasu. Ale jednak coś tam powstawało. Mało, ale było. Jestem wyznawcą liryki doznań, nigdy zatem nic nie pisałem z okazji, ku czci, na zamówienie czy z innego powodu. Nie musiałem. I tak powstawały dwa, trzy wiersze w roku, ale po 10 latach było ich już 30.

– **Irek, jakiś czas temu wydaliście coś fantastycznego, a mianowicie tom „Wysłuchani w kamienie Gorzowa”. Moim zdaniem to najpiękniejszy prezent, jaki to miasto kiedykolwiek dostało.**

– Potem powtórzyliśmy ten tom w twardej oprawie, na lepszym papierze, z ilustracjami, z tytułem „Poetycki portret Gorzowa i jego mieszkańców”. Ludzie chcieli mieć tę książkę. Zajęło nam to sporo czasu, aby przygotować tę antologię. Antologie z reguły zajmują sporo czasu, potrzeba dużo pracy, aby stworzyć dobrą książkę. To było pół roku codziennej rzetelnej pracy, aby te teksty wybrać, pogrupować, nadać temu sens.

– **Irek, a jak ty teraz spędzasz czas?**

– Przeglądam swoje stare rzeczy, coś wyprowadzam ze szkicu w stan ostateczny. Buduję sobie powolutku taki pomnik literacki, pozapoetycki, oparty na esejach, prozie, recenzjach, takie coś w rodzaju „Nie ma” Mariusza Szczygła. Bardzo mi się ta książka podobała. Krótko: tyle było, a nie ma...

– **Dziękuję ci bardzo za rozmowę.**

(echogorzowa.pl | 2020-10-07)

ORDER ZA WIERSZY?

(Fragment rozmowy z Beatą Patrycją Klary dla rocznika 2015 pisma „LAMUS”)

B.P. K.: Otrzymał Pan ostatnio Krzyż Oficerski Orderu Polonia Restituta. Jak Pan traktuje to odznaczenie?

I.K. S.: *Z satysfakcją. Albowiem nietatwo dziś mieszkającemu na prowincji twórcy i społecznemu animatorowi zdarzeń kulturalnych, który nie ma oparcia w ważnej instytucji czy partii, być zauważonym na drodze, którą podąża wielu innych, z różnych względów bardziej w tym tłumie widocznych. Najczęściej dekoruje się piersi polityków, luminarzy oświaty i wysokiej rangi wojskowych. Na pewno nie dostaje się odznaczeń za pisanie wierszy. Myślę, że jeśli chodzi o mnie, decydującą mogła być moja od kilkunastu lat konsekwentnie i społecznie pełniona służba ludziom na polu upowszechniania kultury teatralnej i literackiej, integracji środowisk twórczych, wychowania młodzieży przez sztukę oraz działalności publicystycznej i wydawniczej. Przez to moja własna twórczość sama siebie ustawiła na marginesie, bo dotyczyła bardziej osobistej sfery życia. Jeśli dziś, w jego jesieni, coraz częściej brutalnie wkracza do mojej poezji polityka, to pewnie dlatego, że zbyt przejmuję się losami innych, którzy – jak ja – zbyt często tracą orientację w tym „co jest grane” w moim kraju i na coraz mniej bożym świecie. Dla równowagi psychicznej wiele czasu poświęcam mojej organizacji pisarskiej ZLP, która jak i ile może, pomaga gorzowskim twórcom, by ich twórcze myślenie zamiast tonąć w szufladach urzeczywistniło się w postaci książek. Temu też służy redagowany przeze mnie „Pegaz Lubuski”, wydawany prawie bez pieniędzy, ale coraz bardziej widoczny na literackim rynku czasopiśmienniczym.*

B.P. K.: Nie jest to pierwsze tak poważne odznaczenie przyznane Panu.

I.K. S.: *Krzyż Oficerski musi być poprzedzony kolejnymi stopniami odznaczeń: Brązowy, Srebrny, Złoty Krzyż Zasługi i Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski. Otrzymywałem je na poszczególnych etapach życia i pracy w kulturze aktywnej, a także szereg odznaczeń oraz nagród lokalnych i resortowych wienających mniejsze i większe osiągnięcia twórcze, pedagogiczne czy artystyczne. Ot, choćby ponad pięćdziesiąt nagród na ogólnopolskich i regionalnych festiwalach kabaretów, teatrów studenckich i amatorskich. Zatem, to ostatnie odznaczenie przyjąłem bez fałszywej skromności. Potraktowałem je jako pewnego rodzaju zbliżenie się do końca podróży po drodze obranej na początku dorosłości.*

B.P. K.: Kiedy ta podróż się rozpoczęła i co było jej bezpośrednim powodem?

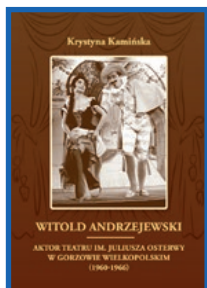
I.K. S.: *[...] Czas odwilży politycznej w 1956 r. i podjęcia przez młodzież studencką artystyczno-rewolucyjnej próby naprawy socjalistycznego ustroju państwa. Niestety, na jego zmianę było wtedy jeszcze za wcześnie... Gomulowska „rewolucja” zbyt szybko skostniała i trzeba było jeszcze wielu lat, by wolność myślenia w słowach, o którą upominaliśmy się w STS-ie, Bim-Bomie, Pstragu i Skrzacie, urzeczywistniła się naprawdę i chyba nieodwołalnie...]*

B.P. K.: Jaka myśl przyświecała Pana działalności teatralnej?

I.K. S.: *Sformułowałem ją w książce pt. „Mój warsztat teatralny” (Warszawa, COK, 1974): „Nie próbujemy, żeby grać – gramy, żeby próbować”. Była to czarodziejska metoda, która pozwoliła mi realizować z uzdolnioną młodzieżą, także szkolną, prawdziwy, żywy teatr na wysokim poziomie artystycznym. Każdy spektakl był inny, dopowiadany kolejnymi doświadczeniami ze spotkań z widzami, kolejnymi wcieleniami aktora we własną coraz głębiej odkrywaną osobowość. Sukces teatru alternatywnego buduje się także na właściwym doborze repertuaru do osobowości członków zespołu. Im jest ich więcej, tym trafniejsza może być obsada. W mojej praktyce wiele razy doświadczałem radości z ról wykreowanych „na sobie” przez prowadzonych przeze mnie aktorów. Muszę coś robić, istnieć w innych. Dlatego dziś ważne jest dla mnie ów „Pegaz Lubuski”, by ujawniać utwory powstające w naszym gorzowskim środowisku literackim. Moje działanie jest szczególnie ukierunkowane na rozwój młodych talentów, by mogły one zaistnieć W DRUKU, a nie tylko w internecie. Pismo i książka utrwała na zawsze myśl twórczą. O własnym piśmie literackim marzą wszystkie środowiska twórcze w kraju, niewiele z nich ma szczęście je posiadać. My jesteśmy w gronie tych szczęściarzy.*

(„Lamus” 2015)

Ostatnie woluminy Biblioteki
Pegaza Lubuskiego 2020



Wydawnictwo Biblioteki Pegaza Lubuskiego osiągnęło w roku 2020 SETNY (100) numer woluminu! Tego jubileuszowego zaszczytu dostąpiło III wydanie tomu poezji I.K. Szmidta „Odpowiedź na pytanie Hamleta”.

Oto trzecie wydanie wielce „fundamentalnego” wyboru wierszy Ireneusza Krzysztofa Szmidta. Pierwsze ukazało się w roku 2015 i zapewniło autorowi Nagrodę im. Jarosława Iwaszkiewicza przyznaną przez Związek Literatów Polskich, drugie – laur Lubuskiego Wawrzynu – za całokształt twórczości. Trzecie ugruntowuje kolejny ważny jubileusz – 85-lecie życia, 65-lecie pracy twórczej i 55-lecie przynależności do ZLP, za co autor dostał Odznaką Honorową za wybitne zasługi dla naszej organizacji. Kumulacja rzadka i piękna.

*

Dawno nie widziałem książki tak solidnie przemyślanej i przygotowanej. Ale też zamysł Autora wynikał z niecodziennej mobilizacji. Ten tom – zatytułowany „Odpowiedź na pytanie Hamleta” – to résumé dorobku Ireneusza Krzysztofa Szmidta. Autor miał zasadniczy lub nawet całkowity wpływ na kształt i zawartość tej książki, co uznałbym za propozycję autokanonu. Nie mam wątpliwości, że celnego, bowiem Szmidt jest zawodowcem w naszej literackiej branży i posiada sporą autoświadomość pisarską. Także pasję organizatorską, dzięki której od wielu lat jest liderem gorzowskiego środowiska literackiego i sprawcą wielu wydarzeń na tej niwie. Co do tego czytelników „Pegaza” przekonywać nie muszę. Jako członek kapituły Nagrody im. Jarosława Iwaszkiewicza potwierdzam, że w czasie Warszawskiej Jesieni Poezji 2015 Ireneusz otrzymał tę właśnie nagrodę w kategorii „Za upowszechnienie literatury współczesnej”.

A wracając do książki: jest to bogaty wybór wierszy z kolejnych zbiorów Szmidta i – co naturalne w tego typu edycji – wierszy zapewne dla Autora najważniejszych. Mówi się o takich książkach, że są „reprezentatywne”. I choć to tylko obfita garść utworów pisanych latami, to starczyłaby jako kanwa na kilka szkiców o Ireneuszu. Ta książka jest nie tylko „autoprezentem”, ale przede wszystkim próbą summy. Jej obecne wznowienie ma swój sens.

Książka podzielona została na osiem rozdziałów: I. Czytelnia, II. Wersety miłosne, III. Groteski, IV. Aforyzmy i fraszki, V. Już szron na głowie, VI. Ballady, songi i piosenki, VII. Przekłady, VIII. Zamiast posłowania (tu znajdziemy sporo recenzji poświęconych kolejnym tomikom). Całość wieńczy indeks alfabetyczny utworów.

Zastanawiam się, co dalej pisać? Bo przecież klasyczna recenzja z takiego wyboru wierszy musiałaby być tasiemcowa, ogarniająca to wszystko i analityczna. Na to miejsca nie mamy. Tak więc w dużym skrócie... Przede wszystkim Szmidt jest poetą „wielomatemycznym”, czemu nie sposób się dziwić, biorąc pod uwagę wieloletnie etapy jego pisania i nieustannie żywotne reakcje na bieg życia i czasów. Hamletowskie pytanie „być albo nie być” musiał stawiać sobie wielokrotnie i zapewne wielokrotnie dołączała do odpowiedzi nowa wiedza, nowe zachwyty, nowe troski, nowe morały. Te wiersze były zwierciadłem kolejnych lat. Zwierciadłem o bystrym wzroku i mądrej sile odbicia, pamiętnikiem nieznanym nam szczegółów, ale i komentarzem znanych nam zdarzeń.

W poezji Szmidta widać trzy skrzydlate Muzy. Pierwsza to Erato – muza miłości. Erotyków tu sporo i oby jeszcze poeta nie zamykał tego rozdziału. Druga Muza pochodzi z klanu „Muz lekkich” – ona lubi groteskę, fraszkę, czasami coś śpiewa i czasami tańczy. A trzecia uwielbia „błyskotliwość wyrozumowaną”, bo czymże innym są aforyzmy? Przypniecie, że paleta tego literackiego emploi jest bogata.

Szmidt na pewno w swoim poetyzowaniu nie był jednak lekoduchem. Większość jego wierszy podejmuje istotne problemy egzystencjalne i komentuje aurę czasów, w jakich przyszło pocieć żyć. Odbija się tu historia. Nie tylko ta duża, także ta zapamiętana z młodości. Matryca starych lat, najczęściej tych powojennych, opowiada klimaty i pejzaże, które są dagerotypami minionego czasu. To są bezcenne prezenty, jakie robią nam starzy poeci. Wiersz jako pamiętnik minionego czasu bywa jak wino pite po latach leżakowania. Czytając jednak Szmidta, widzimy, jak zmieniała się rzeczywistość i jej kolejne klimaty. Ale nie przypinałbym pocieć łatki kronikarza. Bowiem w całej tej materii stale daje znać o sobie uniwersalna refleksja egzystencjalna i etyczna, czyli to, co jest najistotniejszą limfą poezji.

Przez wszystkie te lata Szmidt uprawiał różne gatunki poetyckie – od niemal traktatowych po epigramaty. Te pierwsze mają swą wagę historyczną i społeczną, te drugie potrafią być wyrafinowane i wdzięczne, jak np. wiersz pt. „Statek”:

*Wybrałem statek
jak rybitwa lotny
i tak łagodny, że pogłaska
gdy zrozumiał wiatr
i zanurzył dziób w fale
kiedy spotkał rybę*

Form i formuł w tym zbiorze tyle, że lektura nie niesie znudzenia. A już na pewno budzi refleksję, że w ciągu wielu lat pisania można ten świat ogarnąć na wiele sposobów intelektualnych i emocjonalnych. Szmidt nigdy nie był autorem „monotonnym” ani zasklepionym w jednej formule. Jego poezja jest zwierciadłem czasu i „smaków lirycznych”, które przecież ewoluowały. Aforyzmy są mocną stroną tej książki. Dwa dla przykładu:

Najcieplej kłamstwu między Bogiem a prawdą.

Ale nad tym aforyzmem znalazłem inny, cudownie pikantny:

*Jak to dobrze, że poeci nie porównują kobiet
do przepięknych nenufarów. Chyba ze strachu,
że co by się działo, gdyby one jak te kwiaty swe kielichy
zamykały po zachodzie słońca.*

No, cymesik! Na zakończenie dodam, że ta książka jest edytor-skim cackiem. Jasny, wyrazisty jest jej układ, wszystkie teksty pogrupowane w czytelne rozdziały opatrzone żywą paginą, no i sporo dobrych ilustracji, tu i ówdzie zdjęć. Rzekłbym: wydanie luksusowe. Ponadto pod koniec książki znajdziemy notę o autorze, ale nie taką, do jakich nawykliśmy, ale solidnie rozbudowaną, co daje nam pełną wiedzę o twórczości, drodze i dorobku Ireneusza. Książkę zamyka indeks alfabetyczny utworów. Jednym słowem: dzieło „kanoniczne”, bo i dorobek autora nietuzinkowy.

Leszek Żuliński

NASTĘPNE POKOLENIE

*Moje pokolenie ufności pełne dla świata,
który tworzyło ciężką pracą, nie zawsze rozsądną
często za darmo, bo trzeba było,
bo kraj, bo ojczyzna – matka nasza wspólna,
na powojennym dorobku...*

*Moje pokolenie przejścia z szali na szalę
przez chybotliwy jęczyzek u wagi,
prawą ręką burzyło, co tworzyła lewa.
Maszerowało do przodu z odwróconą głową.
Niektórzy tyłkiem, by mniej bolały braterskie urazy
i zabliznione już pręgi na plecach.*

*Tak odeszło z historii, jak się z wojny wraca
z przetrąconym grzbietem, z pragnieniem miłości,
z żółdkiem przyrośniętym do krzyża w obozach,
z głodem wszystkiego w oczach,
a wolności zwłaszcza.*

*Następne pokolenie zaczyna od początku,
Jak gdyby przed nim nigdy nic nie było.*

Ireneusz K. Szmidt



MŁODZIEŃCZO PRZEWROTNA

Tytuł wiersza Janina Jurgowiak przeniosła z urzędowego formularza: „Niepotrzebne skreślić”. Przeczytajcie:

*Pogadaj ze mną ty która/który
[niepotrzebne skreślić]
znasz mnie
wiesz, że jestem sama*

*Pogadaj ze mną ty, co mieszkasz
tuż obok, za ścianą
piętro wyżej/nżej
[niepotrzebne skreślić]*

*Pogadaj ze mną o pogodzie
o tym, że jest, jak jest,
że drogo/tanio
[niepotrzebne skreślić]*

*Pogadaj...
Niech nie dowiem się,
że jestem niepotrzebna, skreślona.*

Przejmująco brzmi ten krótki wiersz, gdy czyta się go w środku pandemii, przy rozlicznych ograniczeniach wynikających z nakazu władz, a przede wszystkim z rozsądku, który każe ograniczać kontakty międzyludzkie. Jacy wyjdziemy z tego odosobnienia? Czy jeszcze bardziej zapomniani przez sąsiadów, a nawet członków rodziny? Czy będziemy umieli z sobą rozmawiać?

Gdy Janina Jurgowiak pisała ten wiersz, jeszcze funkcjonowały normalne relacje między ludźmi, a już bohaterka tęskniła do codziennych spotkań, by pomówić o czymkolwiek. Obawiam się, że czas zarazy jeszcze bardziej nas od siebie odzieli, że coraz więcej osób stanie się takimi „niepotrzebne skreślić”. Wprowadzona do wiersza formuła z żargonu urzędniczego pogłębia ten proces, wręcz go narzuca jako nakaz administracyjny. Co z nami będzie?

*

Janina Jaszka Jurgowiak debiutowała literacko w 2017 r. tomem wierszy „Odroczenie”. Z wykształcenia jest polonistką, już emerytowaną nauczycielką. Jej pierwszy tomik pochwaliłam za „świadomą refleksję, silne uczucia, liryczne westchnienia, rozliczenie z życiem, ale także piosenkę, rymowane żarciki, pastisz, a nawet >lepiej< – dwuwiersze, którym początek dała Wisława Szymborska”. Włożyła do niego autorka rozmaite wiersze pisane przez lata. Ta różnorodność wydała mi się plusem tamtego tomiku.

*

Drugiemu tomikowi swoich wierszy Janina Jurgowiak nadała felietonowy tytuł „Wersje i dywersje”, jakby z góry bardzo pojemnie traktując jego granice. Do części pierwszej włączyła wiersze poważne: o rodowodzie, o refleksjach kobiety dojrzałej, o samotności, z tej części pochodzi cytowany wiersz „Niepotrzebne skreślić”. Część druga nosi tytuł „Pejzaże” i zawiera poetyckie refleksje związane z Gorzowem, z jeziorem w Ośnie, Santokiem, przyrodą itp. Część „Półki

życia” proponuje rozważania nad sensem życia, postawami ludzi, tęsknotami, nadziejami. Tom kończy „Astrologia”, czyli zestaw 12 wierszy z portretami ludzi urodzonych pod kolejnymi znakami zodiaku. I jeszcze wisienka na torcie, o czym za chwilę.

Mogłabym więc napisać o zawartości tego tomu to samo, co o pierwszym. Tyle że tam taka różnorodność działała na korzyść autorki, a tu nie mam podobnego przekonania. Duża rozbieżność tematyczna przy równie zróżnicowanym kształcie artystycznym wierszy nie buduje portretu autorki. Trochę tu liryki, trochę prawd uniwersalnych, ale równie dużo codzienności, co i banału. Szczególnie rozczarowały mnie wiersze „astrologiczne”, bo schematycznie pokazują ludzi spod określonego znaku zodiaku, a poetyckiego spojrzenia tu po prostu brak.

*

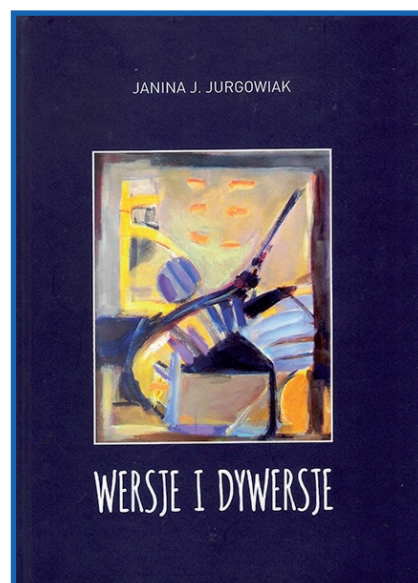
A przecież jest kilka wierszy kapitalnych. Może zaskakujące, ale w moim odczuciu są to wiersze o zacięciu... satyrycznym. Bo Janina Jurgowiak, mimo starannie zakładanych kostiumów dorosłej kobiety, ciągle jest młodzieńczo przewrotna, ciągle bawi się skojarzeniami, zaskakuje abstrakcyjnymi obrazami. Jak w wierszu „Uważajcie na moje paluszki”, który zamyka cały tom i jest właśnie tą zapowiadaną wisienką. Rozpoczyna się tak:

*Chata mi się rozchacia, dom robi się bezdomny, a ja wiersz
pięzę kolejny, głupi i wieko-pomny. Wieko trumnę przykrywa,
na nim wieniec z pietruszki, w trumnie poetka spoczywa, ma
przytrzaśnięte paluszki.*

Surrealistyczny obraz: trumna, wieniec z pietruszki i autorka kiwająca paluszkami spod wieka! Pyszny! Potem prośba skierowana do tych, co ją złożą do trumny, aby ją wyposażyli w atrybuty twórcy: papier, pióro i wódkę! Nadal chce pisać! A wcześniej chata, co się rozchaciła, z wiekopomnego pozostało tylko wieko... Trzeba mieć wyobraźnię, by tak zabawić siebie i czytelników!

Tak trzymać!

Janina J. Jurgowiak, „Wersje i dywersje”, wyd. Robotnicze Stowarzyszenie Twórców Kultury, Gorzów Wlkp. 2019



BRAK

Odeszła za tęczy most
na niebieskie łąki;
za daleko, żeby przywołać.
Osierocone kolana
nie czują miłego ciężaru,
dłonie daremnie szukają
jedwabnego ciepła.
Oczy wypatrują
i stopy nadal uważne,
żeby nie nadepnąć.
Rytm dnia potyka się
o brak.

MOJA RADOŚĆ UMIERA

taka drobna małeńka
z lękiem dotykam środka bólu
a myślałam że niczego się nie boję
serce wciąż bije
i płytki oddech porusza boki
słabość
jeszcze strzyże uszami
jeszcze patrzy przytomnie
ale
z trudem unosi łebek
zbyt duży wysiłek
słabość
woda żeby tylko zwilżyć język
torsje
podłoga umyka spod łap
śmierć nie jest estetyczna

MUZA

Moja muza nosi spodnie,
ma sześćdziesiąt sześć lat
i coś tam bąka o starości.
Moja muza głupia jest
akurat tyle, ile trzeba i
mądra, na ile może sobie pozwolić.
Pali namiętnie podle papierosy
i gwizdże na to, co ludzie powiedzą.
Przypina cierpliwie do moich ramion
skrzydła,
całuje w czoło i podrzuca do góry.
Leć! Leć!
Nieodmiennie spadam jak kamień.
Skrzydła amortyzują upadek.

NIE JEST SIĘ W STANIE

Karolowi Maliszewskiemu

Czytałam twoje wiersze pośmiertne
rozkwitłe żółcią wśród cierni,
gorzkie jak piołun,
szorstkie jak całun dla braciszka
żeganego salwą w niebo.

Czytałam rozpaczliwe ody twoje
bez-nadziejne.
Nadzieję pożarła bezradność.
Zaprawdę więcej nie jest się w stanie.

DESPERACJA

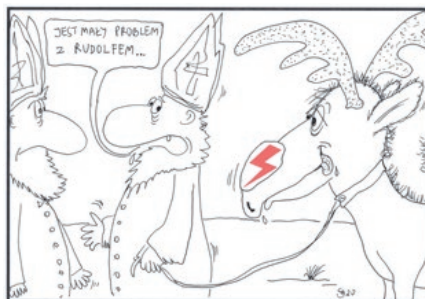
Długo jeszcze?
Niech powie, kto wie.
Hej wy, spece od wirusów
i wy, jasnowidze, prorocy i wróżki!
Długo jeszcze?
Jak żyć, kiedy tylko maseczka,
dystans
i mycie rąk?
Dezynfekcja, dezynfekcja...
Dni za dniami, tygodnie, miesiące,
Zamknięci czekamy –
może sama ustąpi, odejdzie?
Szczepionek nie ma,
tylko maseczka i mycie rąk.
Dezynfekcja
i cała medycyna na nic.
Gdyby tak na przekór
wyjść na ulice, place, bulwary
i desperacko spojrzeć w oczy
tej epidemii?
Dezynfekcja, dezynfekcja...

SEN MARA

Moje majaki nieuchwytnie,
czemu srebrzystą pajęczyną
plączenie myśli w chmurach snu?
Parka nożyce ma bezwzględne,
Arachne, chroń pajęczą nić.

Ściele posłanie z pędów głogu;
dbam o sprężystość i wygodę,
nakrywam białym prześcieradłem,
dobrze mi tutaj będzie snić.
Biel – jasność, pustka, nawet śmierć.
Parka nożyce ma bezwzględne
bardziej niż Damoklesa miecz.

Gałęzie leżą wprost na ziemi,
bo to nie łóżko, raczej stos.
Nie przypominaj, że głóg chroni,
że ze mną srebrny miesiąc, Raróg.
Wiem:
Wiły nie trafią tu zapewne,
choć mają ciała z rosy, mgły
i wilkołaki tu nie przyjdą,
zaprosił je na ucztę Żmij.
Tylko ten Raróg...
Kiedy poderwie się do lotu,
zapłonie stos.
Wtedy do Nawii muszę iść.
Parka nożyce ma bezwzględne.



UŚMIECHNIJ SIĘ

Pytasz, więc mówię:
Żyłam nieumiejętnie,
lecz nie całkiem głupio.
Kiedy umrę, napisz:
Odeszła dobrowolnie i ostatecznie.
Zostanie po mnie fotel z ratanu,
zakurzone papiery i książki.

Książki niech weźmie ten,
kto oddaje się anachronicznej
przyjemności czytania,
papiery na makulaturę,
fotel na śmietnik.
Może przysiadzie na nim
zmęczony poszukiwacz puszek?
I jeszcze jedno:
Uśmiechnij się do życia.

* * *

Kiedy spotkamy się na schodach,
ty w górę, a ja w dół,
zawrócę, pójdę z tobą,
podejmę trud.
Kiedy spotkamy się przy szatni,
właśnie zdejmuję płaszcz,
założ mi go i powiedz:
– Jeszcze nie czas.

Niech tam ktoś na mnie czeka,
ktoś ważny, najważniejszy,
ty chyłkiem mnie wyprowadź
na jasny świat.
Zgubimy się wśród ludzi,
w tłumie ukryć się łatwo,
w oczach już miałam mrok
i nagle – światło.

STACJA KONIEC

Fizyka kwantowa
i medycyna molekularna
podały sobie ręce.
Nareszcie dogadały się
w sprawie wpływu Kosmosu
na życie Kowalskiego.
A on nic.
A on jedzie pendolino.
Nie nasyci oczu rozmazaną
smugą za oknem.

Lasy w pień,
łąki wniwecz.
Rosną betonowe Himalaje betonu
i szkła.
Pendolino zwalnia przed stacją
KONIEC.

ORBITOWANIE

Rzeźbione światłem fasady bloków
szemrają we mnie
gwarą schodowych klatek,
gromadne kawki skubią trawniki,
korpus garaży
broczy czerwienią
przekleństw na tyłach ścian;
mijam kratery
przeoranych do dna
księżycowych arterii,
zerkając w gardziel
otwartej ziemi
uczę się topografii,
pieczołowitej
sztuki wrastania
korzeniem w bruk.

ORNITOFobia

Drażni go klangor
w gąszczu obłoków,
cień lądujący
późnym wieczorem
na rdzewiejącym
drażku trzepaka,
zaglądam w kręgi
brunatnych ślepi
przechowujących
dzioby i szpony
skrzydlatych bogów
łamiących karki
niesfornych szczeniąt,
mój pies
najzwyczajniej
(to takie ludzkie)
boi się ptaków.

MOŻNA BY...

Zmyć z mięśni twarzy
barwy ochronne,
odłożyć na bok ostrość żyletki,
wyjść
prosto do parku,
pomarańczową kałużą słońca
rozmyć horyzont, odpuścić
sobie, przez dziesięć minut
przestać się bać.

* * *

uczę się żyć na nowo
zakreślając wyliczone kręgi
lękliwie
przesuwam w oknach zasłony
i z zazdrością przeliczam ptaki
których świergot znam już na pamięć
żadna odmiany i słońca
tłoczę się na przyciasnym balkonie
walcząc o pierwszeństwo bycia
ze świeżo posadzonymi bratkami
zdziwiona jak dziecko
że cisza w uszach dzwoni

DNI WCIĄŻ TAKIE SAME

mijają bezszelestnie
bez chęci zapamiętywania
tylko zerwane kartki z kalendarza
monitorują czas
który przelewa się przez palce
wyznacza święta i papierowe niedziele
a my czekamy dalej

NIE MOGĘ CIĘ TERAZ ZGUBIĆ

martwię się, że mnie nie poznasz
tak bardzo jestem podobna do wszystkich
spod maski nie widać tęsknoty
ani radości spiętej uśmiechem
który tak lubisz
może jedynie skrzydła
pożyczone od ptaka
zatrzymają twoją uwagę na chwilę
pomogą zachować wymaganą odległość
i wiatr przeniesie
zapach znanych perfum
i znów
dobroduszne słońce oznaczy
właściwe miejsca
ogrzeje zagubione dłonie

* * *

moje szczęście nie ma wymiaru marzeń
podarowane przez los jak zielone jabłka
skradzione w sadzie
pachnie poranną trawą
i zbudzonym dmuchawcem
kusi zuchwałą żółcią kwiatów
I soczystą koniczyną nieprzydatną do wianka
rozkołysane kolorem chabrów
domyka czas w niebiańskim uniesieniu
dopełnia ciszę wymownym westchnieniem.

W POCZEKALNI ŻYCIA

zdamę osobliwy test
z czasu wspomnień i pragnień jutra
zwykle „dziś”
odmieniam przez przypadki losu
zaskakującego zmiennością chwili
zbędne emocje rozmieniam
na drobne gesty i słowa
misternie zbieram drobinki szczęścia
jak szklane kamyczki
i chowam na potem
na gorszy czas
nie chcę zgubić się do końca

DO BRZEGU W KOLORZE NADZIEI

Jolanta Karasińska rozpoczęła swoją literacką przygodę od wierszy dla dzieci. W 2010 r. wydała książkę „Jak kropelki”, a w następnych latach dodała jeszcze trzy. Ale już w 2011 r. zaprezentowała się także jako autorka wierszy dla dorosłych, a wydany niedawno jest w tej grupie trzeci. Taki dorobek zawoocował przyjęciem autorki do Związku Literatów Polskich.

Jolanta Karasińska wypowiada się także w plastyce. W Barlinku, gdzie mieszka, należy do grupy malarskiej „W kręgu sztuki”, uczestniczy w plenerach i wystawach. Jest osobą pogodną, życzliwą, zawsze chętną do niesienia pomocy. Ze sztuką związała się dość późno, więc trudno jednoznacznie ocenić, czy to jej postawa życiowa spowodowała, że pisze i maluje, czy bliskie obcowanie ze sztuką ukształtowało jej charakter. Na pewno obecnie jest to oddziaływanie wzajemne.

*

Wiersze dla dzieci z założenia są pogodne i uśmiechnięte. W poprzednich tomach wiersze dla dorosłych Jolanty Karasińskiej także niosły przede wszystkim zachwyt dla życia w jego rozlicznych przejawach. Mówią o tym tytuły: „Skrawek nieba” i „Jeszcze wczoraj tańczyłam z gwiazdami”. Ale trzeci, najnowszy tom jest inny, co już sugeruje tytuł „Poza horyzontem ludzkich spraw”.

*

Tomik dzieli się na dwie części. Do pierwszej weszły wiersze pisane po śmierci przyjaciółki. W różnym czasie i z różnych inspiracji. W jednych choroba i śmierć są blisko, niemal na wyciągnięcie ręki, czytelnik widzi osobę chorą, czuje zapach lekarstw. W innych minęło już sporo czasu od śmierci, ale stale są obecne pytania: Dlaczego? i Jak żyć bez osoby bliskiej?

Jolanta Karasińska weszła na nową dla niej płaszczyznę refleksji. Jest poważna, skupiona, jej wiersze są ciemne w kolorystyce. Naprawdę wciąga czytelnika w krąg swoich refleksji.

Ten ton jest nowy w twórczości Jolanty Karasińskiej, a przecież śmierć osoby bliskiej jest częścią życia każdego człowieka, więc i myślenie o śmierci ma charakter uniwersalny. Oczywiście wiersze te pisane były wcześniej, ale czytane teraz, w atmosferze pandemii, nabierają aktualności. Codziennie słyszymy o przerażającej liczbie zmarłych, a coraz częściej są to ludzie znani osobście, nawet najbliżsi. Nowej aktualności nabrały wiersze Jolanty. Przerażającej aktualności.

*

Jednak mimo wiedzy o chorobie, która może dotknąć każdego z nas, mimo życia w odosobnieniu, bez tak naturalnych kontaktów towarzyskich, wszyscy sobie zadajemy podstawowe pytanie: Jak długo? Kiedy skończy się ten nie-ludzki czas? Bo on na pewno kiedyś się skończy.

W przypadku śmierci bliskiej osoby nie można mieć nadziei na jej zmartwychwstanie, ale mimo to czekamy, kiedy nadejdzie pogodzenie się ze stratą, kiedy przyjdą lepsze dni. Kiedy wróci nadzieja.

Przejmujące są Jolanty Karasińskiej wiersze o śmierci, jednak proponuję wiersz także wyrastający ze smutku, ale już z nutą optymizmu:

Złe myśli

przychodzą nieproszone
nie znoszą sprzeciwu
panoszą się [...]
w świetle ciemności drwią z blasku
przypominają o beznadziei chwili
w oceanie przemysłów
czasem szukają krainy spokoju
brzegu w kolorze nadziei.

*

Druga część tomiku nosi tytuł „Podniebne szybowanie” i jest świadectwem, że autorka wróciła do swojego naturalnego tonu. Dużo tu barw, przyrody, ciepła, nawet radości. Krok po kroku autorka rejestruje swoje uczenie się życia na nowo. Czy ten powrót w pełni jej się uda – zobaczymy w następnym tomie wierszy.

Doświadczenie śmierci jest – jak to określiła w tytule Jolanta Karasińska – „Poza horyzontem ludzkich spraw”. Ale te sprawy wracają do nas, bo domagają się „Podniebnego szybowania”.

Dobry, ważny tom wierszy Jolanty Karasińskiej, niespodziewanie bardzo aktualny.

Jolanta Karasińska, „Poza horyzontem ludzkich spraw”, okładka i oprac. graficzne Andrzej Haegenbarth, wyd. Żapol, Szczecin 2020, 64 s.



*Witam serdecznie, Irku!
Zamknęliśmy się w domach,
jak nam kazano, i posłusznie
żyjemy według nakreślonych zasad.*

*Promocja mojej nowej książki
zeczki nie istnieje. Wszystkie
spotkania z dziećmi odwołane.
Trudno.*

*Dziękuję za przesłanie życzeń świątecznych
i elektronicznego PEGAZA. Chociaż tyle nam wolno.
Podejrzewam, że kolejny numer z pewnością
też przygotowujesz. Sporo piszę. Pośylam Tobie
ostatnie wiersze z tego „balkonowego” okresu. Może
coś z tego wybierzesz.*

*Specjalne podziękowania za zamieszczenie moich
wierszy w cudownym almanachu „Pod skrzydłami
Pegaza”. Opracowanie i wydanie godne
Mistrza. Piękna pamiątka dla potomnych. Jest co
poczytać I SIĘ POCHWALIĆ... I może się uda spotkać
na kolejnej promocji „Pegaza”?*

Życzę dużo zdrowia.

JOLA

Jolanta
Karasińska



Poza horyzontem
ludzkich spraw

O GORZOWIE, ALE DLA DZIECI

Słowa „bajdurka” nie ma w „Słowniku języka polskiego”, ale są „bajdurzenie” i „bajdurzyć”, jest także „bajać”. Bajdurzyć to zmyślać, mówić głupstwa, zaś bajdurzenie to rzeczownikowa forma od tego czasownika, czyli opowiadanie głupstw, zmyślanie. Natomiast słowo „bajdurka” stworzyła Stanisława Janicka na określenie tego, co zostało zmyślane, wybajdurzone. I mimo że nie zna go słownik, doskonale je rozumiemy: jest odmianą historyjki, opowiastki, bajeczki, gawędy, anegdoty, legendy itd. Bardzo ładnym słowem, bo niesie łagodny nastrój babcinej opowieści, trochę prawdziwej, trochę zmyślanej.

*

Stanisława Janicka (1928-2014) przez całe życie pracowała w gorzowskim archiwum. Znakomicie czytała stare teksty niemieckie pisane tzw. szwabachą, z wykształcenia była romanistką, a więc język francuski nie miał dla niej tajemnic, z łatwością rozczytywała wszystkie dokumenty polskie, nawet pisane z dużym dodatkiem łaciny i z piętrowymi zawijasami. Na temat naszego regionu wiedziała wszystko. Chętnie dzieliła się swoją wiedzą, napisała wiele artykułów publikowanych w specjalistycznych pismach, ale pierwszą książkę dostała dopiero teraz. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta wydała jej „Bajdurki gorzowskie”.

*

To zaledwie pięć opowieści, które wyrastają z historii Gorzowa, ale ich bohaterami są osoby fikcyjne. Na pewno istniał poborca opłaty za przejazd mostem przez Wartę, ale że miał złośliwą teściową i że wyśnił złotą karetkę, to już fantazja autorki. Stanisława Janicka – historyk z krwi i kości, do wymyślonej opowieści dodała sporą garść informacji o tym, jakie prawa związane z rzeką stanowiło miasto, jak egzekwowano opłaty, a także co jedzono i jak się ubierano w czasach Pana Mostowego. Dzieci wezmą z tej opowieści ładną historyjkę, ale ich rodzice mogą zaczerpnąć znacznie szerszą wiedzę.

W warstwie fabularnej jest to po prostu bajdurka wyrosła z bajdurzenia, ale takie bajdurzenie może poprowadzić tylko wytrawny historyk.

*

Książka zawiera:

Bajdurkę o Panu Mostowym,
Bajdurkę o Warcie, która wylała,
Bajdurkę o pożarze mostu i wstydlwym kawalerze,
Bajdurkę o fabryce juty i dobrym dyrektorze,
Bajdurkę o pożarze ulicy Grobli.
Szkoda, że tak mało. Bardzo szkoda.

*

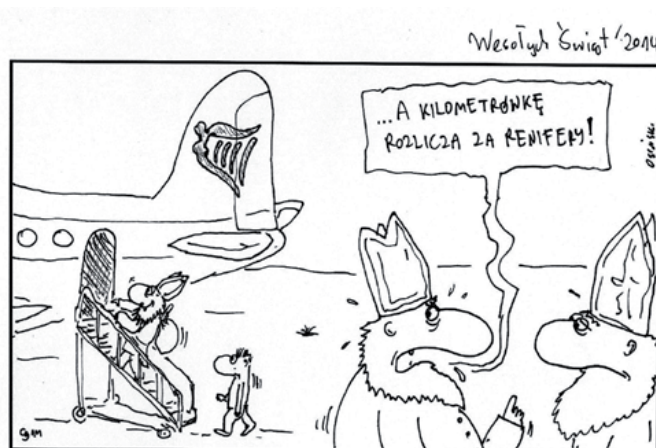
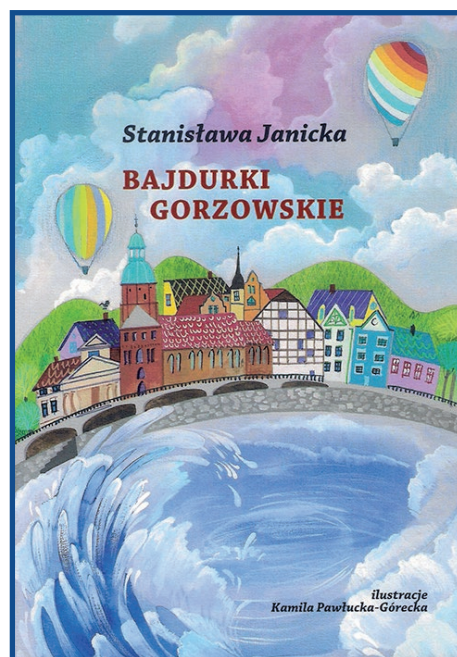
Dużym atutem książeczki są rysunki Kamili Pawluckiej-Góreckiej. Choć artystka pochodzi z południa Polski, znakomicie odmalowała klimat dawnego, legendarnego Gorzowa. Każda z 32 stron książki jest świetnie zakomponowana, a rysunki wprost bajeczne w kolorystyce. Duża przyjemność z samego oglądania.

*

Gorzów ma zaledwie kilka legend, a wszystkie wyrastają z kultury niemieckiej. Nie tylko dzieci, lecz my wszyscy, dorośli mieszkańcy, bardzo chcielibyśmy mieć ich znacznie więcej, bo takie lokalne opowieści budują emocjonalne związki ze swoim miastem. Najlepsze wyjście – trzeba stworzyć nowe, własne opowieści wtopione w przeszłość. Takie właśnie jak bajdurki Stanisławy Janickiej.

Duże uznanie dla Biblioteki za wydanie tej książki, bo jest jedną z pierwszych książek o naszym regionie adresowanych do dzieci. Na pewno można ją wypożyczyć we wszystkich filiach na terenie miasta i w bibliotekach w regionie, a także można kupić w Bibliotece.

Stanisława Janicka, „Bajdurki gorzowskie”, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wlkp. 2020, 32 s.





Zimne dreszcze

Po południu poczułem w całym ciele dreszcze zimna. Doznanie własnego istnienia nie było przyjemne, a nawet więcej i gorzej, było okropne, męczące. Trząsałem się, pomyślałem od razu tylko o jednym, co przydarza się innym w różnym wieku, także młodym osobom. Szybko jednak owinąłem się kołdrą i tak przez godzinę wracałem do siebie, a raczej czekałem, aż znowu wróci ciepło do każdej komórki ciała, do bicia serca i do myśli o życiu. Po godzinie było już lepiej, więc mogłem wstać i czymś się zajmować. Nie dowierzałem własnemu samopoczuciu, lecz zacząłem chodzić po domu, po pokojach.

Kawa

Pierwsza myśl, to napić się czegoś, co mogłoby mnie wzmocnić. Oczywiście kawa. Z dna metalowego pudełka wygrzebałem zalegającą łyżeczkę zmielonej kawy. Zagotowałem wodę i kawę zaparzyłem w szklanej filiżance. Już sama czynność dodawała mi trochę otuchy. Sprawy bowiem posuwały się do przodu.

Telefon

Byłem w kuchni, kiedy w pokoju zadzwonił telefon, lecz nie słyszałem. To N. powiedziała, że dzwoni telefon, więc odebrałem. Usłyszałem znajomy głos I., który zapytał, czy wydałem tomik. Tak, wydałem. O moim poetyckim powrocie do Jaromierza, małej wsi, w której spędziłem dzieciństwo. Kolejna książka („Napisane w zeszytach”) spadła mi poniekąd z nieba, bowiem w połowie roku, na początku czerwca, zupełnie niespodzianie i nieoczekiwanie wydawnictwo Akwedukt we Wrocławiu, z którym nigdy wcześniej nie miałem żadnego kontaktu, nawet nie wiedząc, co to jest, jaka poezja, bo jeszcze tekst nie był gotowy, wyraziło chęć wydania zbioru, co ogromnie zdopingowało mnie do większej dalszej poetyckiej pracy. Coś niesamowitego. I tak się wszystko spełniło. Oprócz wierszy dałem do druku kilka zdjęć – zdjęcie domu, w którym mieszkalem, budynku szkoły, kapliczki pośrodku wsi, krów na łące, stawu, podwórek wiejskich, jesiennego pola z dyniami. Można byłoby ułożyć o tym moim Jaromierzu i wydać fotograficzny album. Uroczyste są te fotograficzne obrazki. Kiedy teraz patrzę na nie, wraca, odzywa się we mnie, właśnie czuły klimat, dawna tonacja, która nadal odsłania mi tamte krajobrazy i sprawy

pierwszych przygód życia i wtajemniczeń. Pojechałem na promocję zbioru we wrześniu, oczywiście spotkanie autorskie miało formę internetową online. Trwa pandemia i nowy rodzaj kontaktów staje się naszym udziałem. Trzeba je cenić, że chociaż tyle jest jeszcze możliwe i ten poniekąd unieruchomiony, pozamykany świat jakoś można otworzyć. Ale co będzie dalej, za miesiąc, za kilka miesięcy?

Teraz

Teraz jest wieczór grudniowy. W takim czasie ponad pół wieku temu była puszysta biel wszędzie, śnieżna radość i zadręczałem kilka razy dziennie moją mamę, robiąc różne zakupy mąki, cukru, olejków do pieczenia, wybierając blachy, formę do babki, foremki do wyciskania ciastek, które po upieczeniu lukrowała, więc zadręczałem ją przy tych zajęciach pytaniami, kiedy już nareszcie będzie Wigilia, choinka, opłatek, świeczki na choince, koledy i prezenty. Niecierpliwiło mnie to czekanie na baśń wieczoru, z jego potrawami, z gorącym kaffowym piecem, palonym od rana w dużym pokoju. Nie było mi wtedy zimno. A teraz już jest zimno i prezenty mi nie w głowie. I za długo nie daję rady usiedzieć przy komputerze. Właśnie sięgam po harmonijkę i jej dźwiękami próbuję ocieplić powietrze i całe swoje chwilowe myślenie o szarości życia.

U.

Otworzyłem pocztę. U. pisze, a ja czytuję, że dostała stypendium w ramach programu wsparcia i pomocy dla pisarzy w tym trudnym czasie. Napisała wniosek i dostała. Zrobiło mi się przez moment przykro i odpisałem, że u nas w lubuskim nikt na taki pomysł nie wpadł, pracujemy gratisowo, społecznie. Samotnie. Pisze, że mnie może w styczniu wesprzeć na lekarstwa, gdybym potrzebował. Łza w oku się zakręciła. Tak dużo w tym serca i człowieka. W kilku zaledwie słowach bezgraniczne przepelnienie wrażliwością na cudzy los.

W poezji

Łączenie różnych rzeczy jest fascynujące. Niecodziennosc istnienia sama

potrafi się pojawić. Poezja to jest chodzenie od rzeczy do rzeczy, dodawanie bliskiego do dalekiego. Rąbanie drewna, kopanie ziemi w ogrodzie i różne przy tym myśli, nie wiadomo jak i skąd. Niby tak pięknie i dobrze... Z poezją bywa tak, że długo potrafi milczeć, nie się nie otwiera, nie odzywa się i może ten stan wzbudzać strach. Strach, że źródło wyczerpało się. Także to, że ludzie chętnie zajmują się innymi sprawami. Chodzi przecież głównie o przetrwanie. Coś jeść, gdzie spać, a zwłaszcza korzystać z cudów technicznej cywilizacji.

Obserwator jakiego królestwa?

Uważny obserwator tego, co współcześnie dzieje się, czyli filozof, myśliciel, analityk zjawisk społecznych czy psychologicznych (także poeta) w końcu powinien jedną rzecz zauważyć. Taką mianowicie, że potężnemu wzrostowi postępu technicznego (szaleńcemu), pojawieniu się nowych technologii, możliwości, wynalazków (Chińczycy właśnie z Księżyca przywieźli dwa kg próbek księżycowych skał) towarzyszy w skali globalnej ogromne, wręcz obsesyjne, nastawienie i interesowanie się ciemną stroną życia – nieszczęściami, przestępstwami, chorobami, śmiercią, występkami, ohydą postaw i czynów. Tym wszystkim, co w żaden sposób nie może stać się fundamentem dla budowania świadomości sensu, żadnego sensu. Jest złem. I tak to żyjemy od rana do wieczora, dzień po dniu, karmieni negatywnym życiem. Ciemnością. A gdyby porównać dzisiejsze życie z tym, które było udziałem ludzi przed wiekami, to żyjemy wręcz po królewsku. Jak w raj. I nie ma radości. Nie ma apoteozy ani fascynacji. Czegoś zabrakło. Na taki świat przychodzi bełtlejskie dziecię, dla którego zabrakło miejsca w gospodarstwie.



To już czwarty zbiór poetycki Czesława Sobkowiaka, który z przyjemnością przychodzi mi recenzować. Ostatnio, w 2019 roku, opublikował bardzo zajmujący zbiór liryków pt. „Powszednie niebo”. Zarazem wydawać by się mogło, że swoją krainę dzieciństwa autor „Powieści w odcinkach” opisał już do imentu. Wszelkimi dostępnymi poetyckiej wyobraźni słowami, formułami, obrazami ukonkretnił jej nadzwyczajną zwyczajność, namalował ten wyjątkowo bliski sercu koloryt, utrwalił przemijające wartości. I oto otrzymujemy kolejną książkę „*Napisane w zeszycie*” (jakby w szkolnym zeszycie w linie), w której zielonogórski poeta, w kolejnej odsłonie, przedstawia swoją tęsknotę za krajem lat dziecińczych. Za swoją Itaką. Tym razem niezwyklej urody elegijne w tonie liryki zilustrowane zostały fotografiami, które wizualizują poniekąd, ale po części jednak to, co zostało zapisane w strofach, w poetyckich słowach, które nigdy nie trąca nadmiernym patosem ani nie są sentymentalne. Kruszące mury, zaniedbane podwórka, drewniane, ostatnie stodoły czyni poeta przedmiotem swojej czulej adoracji. Nostalgia za przeszłością, mentalne powroty do kraju dzieciństwa, do czystości doświadczenia, stały się w tej poezji ważnym, rozpoznawalnym leitmotivem. I dużym uproszczeniem byłoby twierdzić, że Sobkowiak powieli wykorzystane już tematy i nadmiernie eksploatuje ulubione wątki, bo w każdym kolejnym tomie odnaleźć można nową odsłonę, domagającą się zapisania obrazowości, która ma wiele cech malarskiego przedstawienia: np. „Zima”, „Polowanie”. Czuje się w tym bogatym w refleksję i dość dużej objętości zbiorze autentyczny ton języka poetyckiego, kładącego nacisk na zwyczajność semantyczną. Nie pada w tej książce ani jedna fałszywa nuta. A do lektury zachęca piękna ilustracja na okładce (wg projektu Sławomira Pęczka, z wykorzystaniem obrazu „Martwa natura” Kamili Marchelek). Pełne uroku i ciepła lirycznego są opisy tego, co minione. Zaznaczona została tęsknota za prostym zwyczajnym życiem, za stabilnym trwaniem, za prawdą trwania. Poeta w niejednym wersie rozpamiętuje swoje odejście od tego świata jako wynik koniecznego, życiowego wyboru i pójścia za tym, co „chybota” i niedające „żadnej podłogi ani chleba”, z którym to wyborem tak bardzo trudno jest się pogodzić, gdy powszechną egzystencję determinuje tak obcy poecie merkantylizm. I tymczasowość. Trwanie w rzeczywistości oddalonej od tego bezpiecznego, ukochanego świata jest z wielu powodów kłopotliwe. Poeta często zdaje się jakby odwoływać do tego samego, czego w Inwokacji pragnął Adam Mickiewicz. Opiewany przez Sobkowiaka świat jest utraconym rajem, ojczyzną, do której (mimo topograficznej bliskości) realnego powrotu już nie ma. Dużo w tych wierszach smutku, lecz też dojrzałej, pogodzonej z faktami mądrości, która afirmuje życie w szerokim wymiarze. Mimo wszystko.

Ciąży nad tą poezją też cień rozpacz z powodu odchodzenia w niebyt ważnych ludzi, spraw, które trzeba bezpowrotnie żegnać. Przejmujący jest wiersz „Elegia”, poświęcony bratu Kazimierzowi. Oswajanie tej nasilającej się pustki i ciszy może się dokonać tylko poprzez język. Słowa utrwalały pamięć o odchodzącym w przeszłość świecie, ale koją też żalobę po nim, mają więc moc terapeutyczną. Zarazem w tym zbiorze poeta żali się, że poniekąd jest tu już kimś obcym, jakby przybyszem z innego świata:

*Teraz nikt mnie tu nie poznaje
Już nie wiem kto z czyjego domu
Jednak w zdaniach chcę to zrozumieć
Zobaczyć staw zaciągnięty rzęsą
Jak wtedy czyli w każdym słowie
Mieć ciszę i szelest i przestrzeń
Żeby w niej odgadywać poezję
(„Podwórka”)*



Dojmująca świadomość przemijania łączy się tu z krytycznym stosunkiem poety do niedających się akceptować zmian cywilizacyjnych, postępującego obojętnienia człowieka na człowieka, tabloidyzacji wartości. Poecie nie przestaje dokuczać jazgot tom-bakowych błyskotek, które zawładnęły ludzkimi pragnieniami. Nie po drodze mu z tymi, którzy „chcą wiedzieć od A do Zet jakieś wielkie zdanie”. Na tym tle jeszcze dramatyczniej wyostrowa się rozpacz osamotnienia.

Stąd eskapistyczne gesty ucieczki w to, co sprawdzone, niezawodne, trwające mimo fizycznego kresu. Poeta błogosławi swoje pełne trudów dzieciństwo, jest wdzięczny ziemi, która nie raz kaleczyła jego stopy. Wspomina ojca („skrobał złowione w kanale ryby”), wiernego psa („wylegiwał na piachu”), wierzbę, od której uczył się muzyki, docenia mądrość mrówek, które nie dopytują o sens, podziwia troskliwość karmiącej pisklęta jaskółki („Potem nie spotkałem / Takiej wytrwałości / Tylko twarze w zakłopotaniu / Mnożące się słowa”).

Czesław Sobkowiak maluje w tej książce obrazy, które poezja odmalowywała przez wieki już setki razy. Ale pogłębiona refleksja jego wierszy czyni z tego zbioru rzecz zupełnie świeżą tematycznie i językowo. Następuje tu bowiem odkrywanie wielu znanych prawd przez bardzo podmiotowe ich traktowanie. Wiesz, ów mityczny Jaromierz, jest tu sferą dawnego już dzieciństwa, zapamiętanej wtedy realności, ale także przestrzeni duchową. Dlatego o tej krainie poeta nie zapomni i wraca do niej, odwiedza ją, chodzi po swoich ścieżkach, łąkach, przysiadła tu i ówdzie i robi dokumentacyjne zdjęcia. Poeta potrafi operować paradoksem, odnajdywać sensy w chaosie, blask w pozornym mroku. Na przykład mówiąc o jabłkach (mocno obciążonych symboliką rajska), stwierdza: „Które nie były poezją / Ale karmiły nas / Najlepszą poezją”. W innym miejscu konstatuje: „Że nie w nadmiarze / Ale co stracone / To jest czasem / Wyczerkiwany dar”. Wspominając piaszczyste drogi swojego życia, mówi o „jaśnieniu ubogich dni” i formułuje porażającą konstatację: „Nie wiem jak to się stało / Że wszystko otrzymałem”. Odnoszę wrażenie, że te wiersze napisane zostały z perspektywy całego życia, które jeszcze trwa i jeszcze zapewne twórczo się przejawia, lecz naznaczone jest już poczuciem „zamykającego się koła”. Stąd i refleksja o sensie codzienności, pracy i znaczeniu drobnych nawet spraw.

Poeta podkreśla wielokrotnie, że tak niewiele pragnie, zaledwie tego, co niezbędne:

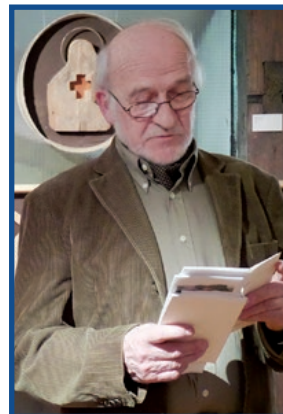
*prawdy w każdej cząstce powietrza /
Do zapisania
nikłych zdarzeń poezji.*

Okazuje się, że takie ucieczki w słowo, w poezję są jak reanimacja gubiących się we współczesnym świecie ładu. Poezja może być schronem przed rozpaczą przemijania, świadomością karlenia świata, wieszczyć apokalipsę wartości. Zadziwiająca i godna szacunku jest jednak pogoda podmiotu lirycznego, który choć doświadczony niejednym zawodem, zaprzysiężony z trudami i rozczarowaniami, ocala swój zachwyt, swoją zgodę na los i wieczne poszukiwanie światła. Wskazuje na to wyważony, stoicki ton tej poezji. Ale mamy tu nie tylko powrót do korzeni biograficznych. Czesław Sobkowiak zareagował w tej książce na pandemię Covidu-19: „Boimy się”, „Na wieży”, „Śpiwnik”, „W cieniu”. To jest tom, mam takie przeświadczenie, wart uważnej i niejednokrotnej lektury.

Czesław Sobkowiak, „Napisane w zeszycie”, wyd. Akwedukt, Wrocław 2020, 120 s.

17 stycznia 2021 r. jeden z nestorów gorzowskiej bohemy artystycznej, rzeźbiarz i poeta JERZY GĄSIOREK (Gąsior) skończy 80 lat.

Jak mało kto w mieście przemysłowo-robotniczym i do tego jeszcze średniej wielkości, wykształcony został w pełni na artystę, kończąc magisterskie studia na Uniwersytecie im. A. Mickiewicza w Poznaniu – dyplom na Wydziale Filozoficzno-Historycznym i podyplomowe studia z muzealnictwa i wystawiennictwa na Uniwersytecie im. Mikołaja Kopernika w Toruniu. Piękny jubileusz długiego życia jest ozdobiony drugim nieco mniejszym, ale też pięknym, bo okrągłym – 40-leciem zawodowej pracy twórczej. I z tych też powodów grono zaprzyjaźnionych fanów postanowiło na dzień urodzin Mistrza przemienić się w JEGO drewniane anioły, którymi od lat nas naokoło obdarza. Zaproszeni na benefis będą musieli poza wiedzą o twórczości Jubilata być ubrani w siermiężne sukmany z gorzowskiej juty, przewiązane powrozem, i urządzić mu pandemiczny jubel (czyt. benefis) na łonie przyrody. Dla mniej zaprzyjaźnionych z Jubilatem kilka niezbędnych informacji, kto On zacz i dlaczego takiemu robi się jubileusz.



Gąsior urodził się był 17 stycznia 1941 r. w Granowcu. Pracę zawodową rozpoczął jako nauczyciel w Zespole Szkół Budowlanych, potem zatrudniony był krótko w muzeum, a od 1980 do 2006 r. kierował Biurem Wystaw Artystycznych, główną galerią wystawienniczą Gorzowa, gdzie zaprezentował gorzowskiej publiczności prace najwybitniejszych plastyków polskich. Był inicjatorem i od 1984 r. organizatorem Biennale Sztuki Sakralnej „Sacrum”, za co w 1996 r. otrzymał Medal im. Brata Alberta. Jego starania doprowadziły do zgromadzenia największej w kraju (poza Muzeum Tatrzańskim w Zakopanem) kolekcji prac Władysława Hasiora. Jest to najczęściej poza Gorzowem pokazywana gorzowska kolekcja, objechała wiele miast w Polsce, kilka razy była za granicą.

Za całokształt dokonań w zakresie upowszechniania plastyki w 1999 r. otrzymał nagrodę Prezydenta Miasta Gorzowa Wlkp. – „Motyla”, a w 2019 r. za dorobek poetycki w postaci 12 książek dyplom specjalny Lubuskiego Wawrzynu Literackiego 2018, jako że wypowiada się twórczo w plastyce i w literaturze.

Specjalizuje się w asamblażach, rzeźbie i architekturze wnętrz. Gąsiorowi do zrobienia rzeźb w formie asamblażu służą przedmioty codziennego użytku lub tylko ich fragmenty, najczęściej zniszczone, wyrzucane na śmietnik. Potrafi tak je złożyć, że oglądający odkrywa w nich nowe wartości, odnajduje nowy sens ich istnienia w sferze transcendentnych skojarzeń i poetyckich metafor. Jego prace wyrastają z polskiej kultury ludowej, ale są mocno osadzone w kulturze wysokiej. Prace wykonuje i eksponuje we własnym domu pracy twórczej – na wieży w Santoku.

Ma na swoim koncie kilkanaście wystaw indywidualnych i liczny udział w zbiorowych, przede wszystkim w Przeglądach Plastyki Lubuskiej (Zielona Góra i Gorzów na przemian). Dwukrotnie zdobył medale za prace na Biennale Sztuki Sakralnej. Prace w zbiorach: Muzeum w Woroneżu (Rosja), Muzeum Lubuskim im. Jana Dekerta w Gorzowie, w Galerii Sakralnej Sztuki Współczesnej w Kielcach, ponadto w kolekcjach prywatnych w kraju i za granicą.

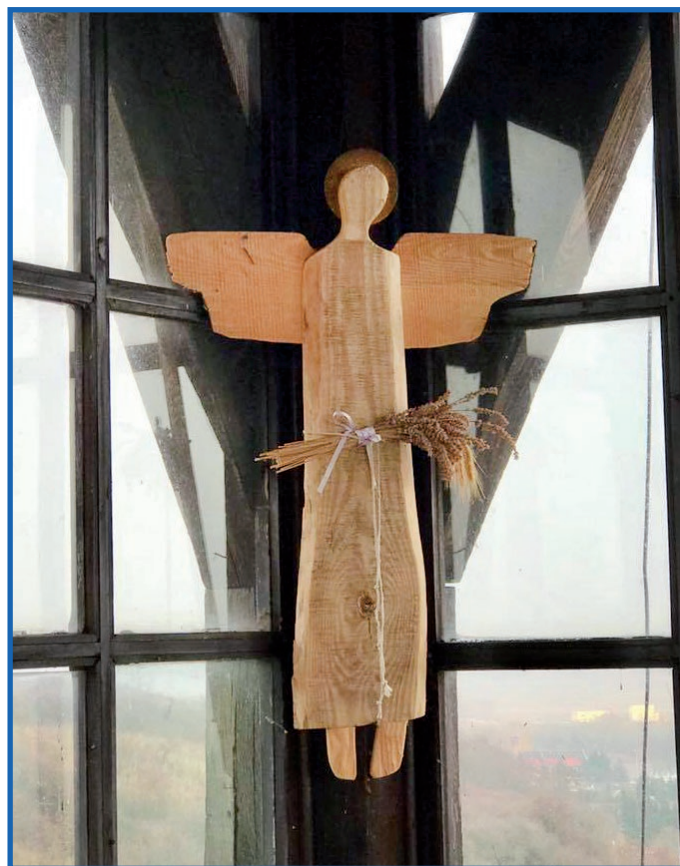
Wydał 12 tomików wierszy: „Z szuflady wyjęte” (2001), „Perony łez” (2002), „Dlaczego” (2003), „Nie zasłaniaj mi słońca” (2005), „Ja, profan” (2007), „Santok” (2008), „Czas rzeźbię” (2010), „Łaknę wiosny” (2011), „A ja wciąż bez odpowiedzi” (2012), „Blżej” (2014), „Trochę za szybko zszedłem z kolan mamy” (2018), „Chcę do nieba” (2021). Osobną książką jest wybór wierszy w dwóch językach – polskim i niemieckim pt. „A ja wciąż bez odpowiedzi – Und ich immer noch ohne Antworten” (2014). Każdy z tomów zawiera ok. 100 wierszy, wszystkie (z wyjątkiem „Santoka”) wydane zostały w takiej samej, niezwykle oszczędnej, ale i eleganckiej formie graficznej zaprojektowanej przez autora.

W czerwcu 2004 r. Komisja Kwalifikacyjna wpisała go na listę członków ZLP.

Jego złote myśli (sentencje) ukazały się w księdze „Złote myśli ludzi wielkiego umysłu, talentu i serca – Twórcy wizerunku Polski” wydanej przez Fundację Dzieciom „Zdążyć z pomocą” (Warszawa 2004).

Wiersze Jerzego Gąsiorka tworzą jakby osobisty notatnik autora pełen ciekawych obserwacji, zamyśleń, refleksji, zastanowień nad sensem i bezsensem życia. Pełne są przenikliwej obserwacji rzeczywistości, ale cechuje je skrót, lapidarność w posługiwaniu się słowem, błyskotliwa pointa, celne, choć również oszczędne, metafory.

Krystyna Kamińska w recenzji tomu „Dlaczego?” pisała: *Lektura wierszy Jerzego Gąsiorka niesie co najmniej dwojaką przyjemność: obcowania z mądrym i wrażliwym człowiekiem oraz radość z wierszy prostych, a przecież o dużej sile poetyckiego obrazowania. To jednocześnie miód dla serca i intelektualna przygoda.*



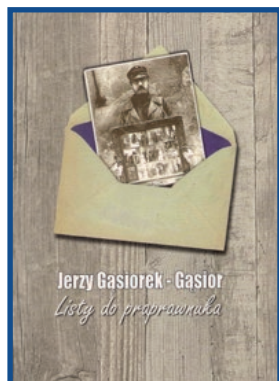
Trzeba dorosnąć do lat sześćdziesięciu
dopiero wtedy
bardziej niż kiedyś
zaczyna cię cieszyć wszystko dookoła
ranek i rosa
kwiat chmury ulewa ptak koń biedronka
żurawie na bagnie
droga polna nawet ulica gwarna
i to szczególnie
że nie masz jeszcze zadyszki
kiedy pod górę się drapiesz
że bez okularów czytasz
omijas apteki
i wzrokiem wodzisz
wciąż za dziewczętami



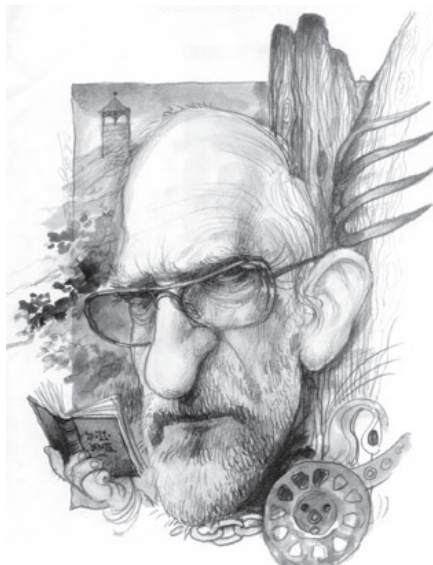
Rzeźby moje siermiężne
jak życie co mnie
doświadczało
złożone z desek przez
wiatr i deszcz wychłostane
z blach co je rdza pokryła
tworzone z chwil smutku
i chwil radości
te mi muza były
wierniejsza od kobiet

(z tomu „Dlaczego”, 2003)

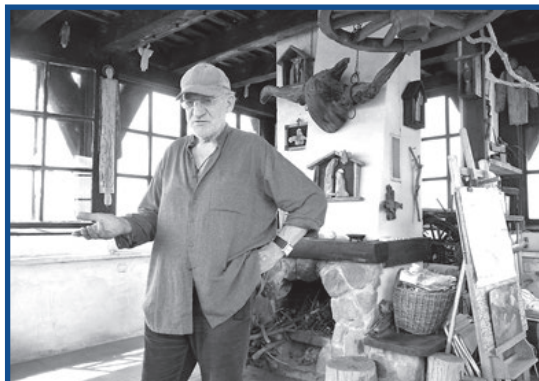
Lepiej zużywać się niż rdzewieć
to moja dewiza życiowa
od lat wielu
stąd moje liczne fascynacje
wędrowki przez pola i miasta
by zmysły nasycić
pięknem przyrody i architektury
eskapady rowerowe
do krajów wielu
ileż tam się dzieje!
moje malowanie Santoka
struganie „gąsiorów”
czytanie i nieudolne pisanie



Dzień dobry mówię
wchodząc do przedziału
jedna osoba skinęła głową
pozostałych czworo
nie zareagowało
nie widzieli nie słyszeli
ze słuchawkami na uszach
wzrokiem utkwionym
w ekranik
laptopa
ja jeden książkę wyjąłem
dziwnie się czułem



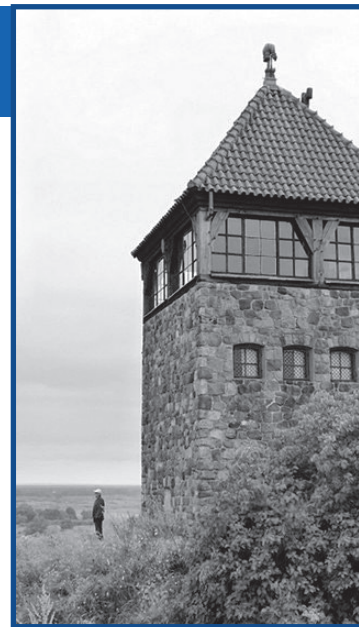
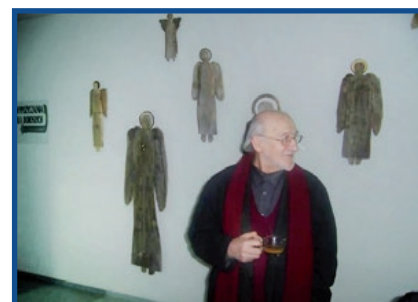
Trochę za szybko
zszedłem z kolan mamy
przestałem się bawić
bujanym konikiem
trochę za szybko wyrosłem
z komunijnego ubranka
za szybko zdałem
egzamin dojrzałości
wewnątrz wszak
długo byłem chłopcem
biegającym za latawcem
trochę za szybko
pojąłem żonę
spłodziłem synów
i dom zbudowałem
w drzew otoczeniu



ZJAZD

Kolejny zjazd delegatów
poetycznej braci
mam mandat nr 14
mogę wybierać prezesa
dwóch kandydatów
jeden z doświadczeniem
ułożony taktowny sędziwy
drugi znacznie młodszy
za to wielce butny
na szczęście wygrał pierwszy
poeci...?
nie zachwycają urodą taktem
także zachowaniem
o dziwo są płodni
tysiące wierszy w almanachach
tylko czytelników nie stoi

Słońce nie zachodzi
to ziemia się obraca
ale ta prawda
takiego określenia
od pokoleń nie zmieni
może tylko astronom
wyraża się poprawnie
to bez znaczenia
jutro kolejny
przekręt ziemi
kolejne przekręty ziemian



KUSTOSZ CYGANÓW

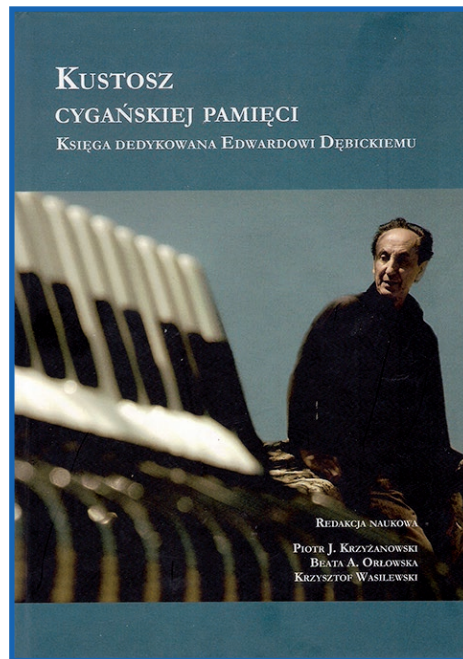
KSIEGA dedykowana Edwardowi Dębickiemu nosi tytuł „Kustosz cygańskiej pamięci”. Znakomity tytuł nie tylko dla książki, ale dla osoby. Edward Dębicki w marcu 2020 r. skończył 85 lat, a od 65 lat prowadzi zespół muzyczny, teraz jako Cygański Teatr Muzyczny „Terno”. Jest to więc nie tylko ważna rocznica jego życia, ale przede wszystkim 65-lecie jego pracy artystycznej i twórczej. Bo choć w „Ternie” występuje już kolejne pokolenie pierwszych członków, to Edward Dębicki ciągle jest ten sam: wierny oryginalnej kulturze Cyganów (tak, Cyganów, bo on nie lubi określenia Romowie). Właśnie kustosz ich pamięci.

*

W Gorzowie nie ma chyba nikogo, kto by nie znał, jeśli nie osoby, to nazwiska Edwarda Dębickiego. Zebrał chyba wszystkie odznaczenia i nagrody państwowe i lokalne, tu najważniejsze: złoty medal „Zasłużony Kulturze Gloria Artis”, Krzyż Kawalerski Orderu Odrodzenia Polski, tytuł Honorowego Obywatela Gorzowa Wlkp. i Honorowego Obywatela Województwa Lubuskiego, tytuł „Świadka historii”. I teraz ten najważniejszy: „Kustosz cygańskiej pamięci”. Edward Dębicki przede wszystkim jest muzykiem, znakomitym akordeonistą, także kompozytorem suit i piosenek, napisał łącznie około 200 utworów, w tym muzykę do pięciu filmów. Jest twórcą widowisk muzycznych oraz gorąco oklaskiwanych programów estradowych. Wydał kilka książek: tom wierszy, dwa tomy wspomnień pt. „Ptak umarłych”, dwa zbiory cygańskich baśni (przez autora nazywanych bajkami). Zainicjował i doprowadził do corocznych Międzynarodowych Spotkań Zespołów Cygańskich „Romane Dyvesa”, których do 2020 r. odbyły się 32 edycje. Przed gorzowską publicznością wystąpiło na nich ok. 200 zespołów z całego świata, a także gwiazdy muzyki pop. Od 1995 r. jest prezesem Stowarzyszenia Twórców i Przyjaciół Kultury Cygańskiej im. Bronisławy Wajs-Papuszy, które powstało z jego inicjatywy. Również on dał pomysł organizowania co roku Wigilii Narodów, podczas której przedstawiciele wielu nacji mieszkających w województwie lubuskim prezentują swoje potrawy wigilijne i śpiewają swoje kolędy. A najważniejsze: sam oraz z Teatrem „Terno” występował w Stanach Zjednoczonych oraz chyba we wszystkich krajach Europy, wszędzie propagując kulturę cygańską, a także swoje miasto – Gorzów.

*

Księgę z okazji jubileuszu artysty wydały Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta oraz Akademia im. Jakuba z Paradyża. Redakcję naukową sprawowali: Piotr J. Krzyżanowski, Beata A. Orłowska i Krzysztof Wasilewski. Składa się ona z czterech części. W pierwszej są teksty odnoszące się bezpośrednio do Edwarda Dębickiego autorstwa osób, które go znają: wspomnienie o „wujku Edwardzie” córki Jerzego Ficowskiego, opowieści braci – Adama i Stanisława Dębickich, refleksje muzyków, sumowanie dorobku przez kronikarzy i naukowców. Druga część traktuje o „Cygańskich śladach gorzowskiej wielokulturowości”, a artykuły przypominają o korzeniach i o kultywowaniu tradycji przez mieszkańców Gorzowa. Na tym tle niewielka społeczność cygańska jest wyraźnie widoczna. Część trzecia podejmuje obecność Cyganów w Polsce z różnych perspektyw badawczych. Na zaproszenie odpowiedziało 11 naukowców z całej Polski. To ważne głosy w badaniach nie tylko etnicznych, ale społecznych w ogóle.



Na część czwartą złożyły się materiały ikonograficzne: liczne zdjęcia, kopie pism, listów, dyplomów, podziękowań itp. udostępnione przede wszystkim przez Edwarda Dębickiego, ale także zebrane z wielu innych źródeł. We wstępie autorzy piszą: „Publikacja ta przedstawia jedynie fragment działalności Edwarda Dębickiego. Zapewne niemożliwe byłoby kompleksowe opisanie, nawet w równie obfitym tomie, tak barwnej, interesującej i ważnej postaci oraz jej działalności na przestrzeni lat”. Księga liczy 516 stron.

*

To bardzo ważna książka o Edwardzie Dębickim i o gorzowskich (choć nie tylko) Cyganach. Szkoda jednak, że w tak grubej książce nie znalazł się żaden tekst na temat literackiego dorobku autora, sytuujący go nie tylko wśród pisarzy z cygańskim rodowodem, ale także całej literatury wyrastającej z kultur ludowych. Tego brakuje mnie, jako że krąg moich zainteresowań koncentruje się przede wszystkim na literaturze. Muzycy na pewno dadzą, że brakuje im płyt z kompozycjami Edwarda Dębickiego. Aż się wierzyć nie chce, że twórca tej rangi nie doczekał się całościowej prezentacji swoich utworów. Ludzie teatru na pewno będą narzekać na brak zdokumentowania widowisk, które Cygański Teatr Muzyczny „Terno” prezentował na całym świecie. Choreografowie będą się domagać zapisania kroków i figur z tradycyjnych tańców cygańskich, jakie zapamiętał kustosz. Edward Dębicki jest artystą w wielu dziedzinach sztuki. Księga pamiątkowa pozwoliła uświadomić, jak jest wielkim i ważnym, ale jednocześnie pokazała, jak skromnie jego dorobek został zapisany. Otwiera się więc pole dla wielu dokumentalistów, ale i artystów, bo Edward Dębicki ciągle inspiruje.

„Kustosz cygańskiej pamięci. Księga dedykowana Edwardowi Dębickiemu w 85. rocznicę urodzin oraz w 65. rocznicę pracy twórczej i artystycznej”, red. nauk. Piotr J. Krzyżanowski, Beata A. Orłowska i Krzysztof Wasilewski, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta oraz Akademia im. Jakuba z Paradyża, Gorzów Wlkp. 2019, 516 s.

Z KLĄTWĄ PAPUSZY

Wierzyć się nie chce, że ostatnia książka z wierszami Papuszy wydana została w 1990 r. Trzydzieści lat temu! Gorzów szczyli się Papuszą, legenda cygańskiej poetyki rośnie, powstają o niej książki i filmy, a znalezienie jej wierszy wcale nie było łatwe.

*

Nareszcie jest nowy tom dzięki Wojewódzkiej i Miejskiej Bibliotece Publicznej im. Zbigniewa Herberta. Nosi tytuł „Lesie, ojciec mój”, czyli taki sam jak tamten z 1990 r., bo jest jego powtórzeniem. Zawiera 26 wierszy i przedmowę pt. „Papusza i jej pieśń”, którą napisał tłumacz wierszy Papuszy – Jerzy Ficowski.

Również jego są przypisy z wyjaśnieniem niektórych problemów translatorskich. Nowe są tylko zdjęcia Papuszy, a pochodzą z jej akt osobowych niedawno przejętych przez nasze Archiwum Państwowe. Nowa jest także bardzo prosta, a jednocześnie elegancka okładka z podpisem Papuszy.

*

Powszechnie znana jest muzyka cygańska, piosenki, tańce, czyli formy, które łatwo można było przenieść z ogniska, przy którym się rodziły, do domów, nawet salonów i na scenę. Zdaniem Jerzego Ficowskiego w rdzennej kulturze cygańskiej funkcjonowały również formy słowne. Były to najczęściej długie opowieści snute przez gawędziarzy, może lepiej – bazarzy – podczas ciepłych nocy przy ognisku. Takich opowieści nie daje się powtórzyć w tej samej formie, zawsze opowiadacz coś tam dopowie, coś opuści, a to inaczej rozwinie poboczny wątek, a nawet zmieni zakończenie. I nikt nigdy tych opowieści nie zapisywał.

Dopiero Papusza, która ambitnie sama nauczyła się pisać i czytać po polsku, zaczęła swoje zwierzenia zapisywać. Tworzyła je w języku cygańskim, zapisywała alfabetem polskim. Pisała od początku kartki do końca, nie dzieliła na wersy, bo nie miała świadomości, że tworzy wiersze. Pisała, co jej w sercu gra. Nigdy niczego nie poprawiała. Pisała i wkładała do koperty, by wysłać do Jerzego Ficowskiego. On – na pewno z trudem – odczytywał jej teksty. I odkrywał urok tych słów, ich czystą poezję, wielką prawdę liryczną. To dopiero tłumacz nadał wierszom Papuszy formę, jaką dziś przyjmujemy jako oczywistą.

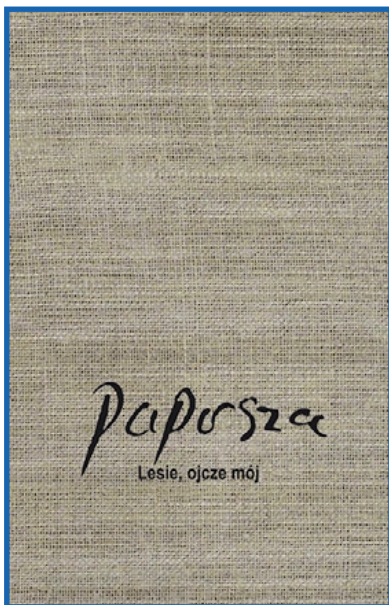
*

Dobrze mieć w pamięci tę prawdę, by w pełni odebrać poetycki świat Papuszy. A z drugiej strony, aby także sobie uświadomić, jak ogromny krok zrobiła ona, skromna, cicha Cyganka, przekraczając bariery obowiązujące w jej środowisku. Zapłaciła za to wysoką cenę napiętnowania, co zakończyło się jej chorobą psychiczną. A potem spaliła wszystkie swoje wiersze i na zawsze zamilkła.

Na szczęście pozostały te, które w końcówce lat 40. i na początku 50. przekazała Jerzemu Ficowskiemu, a on, tłumacząc je, postawił jej pomnik.

*

Funkcjonuje określenie „klątwa Papuszy”, bo cokolwiek by się robiło wokół Papuszy, zawsze kłopoty piętrzą się niepomierne. Znam trochę zakulisowych problemów związanych z przygotowaniem tej książki i życzę, że klątwa Papuszy działała w całej rozciągłości. I działa. Książka miała mieć promocję na po-



czątku marca. Wiadomo, co się stało. Odłożono termin jej prezentacji. Ostatecznie w ogóle nie będzie miała hucznego wejścia. Jest dostępna w bibliotece i w filiach, także w sprzedaży, ale tak o niej cicho, jakby jej wcale nie było. Biblioteka przygotowuje kolejne książki związane z Papuszą. Oby ta klątwa przestała działać!

Papusza, „Lesie, ojciec mój”, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wlkp. 2019, 100 s.

Papusza

PRZYCHODZĘ DO WAS

*Nie przyszłam do was, byście jeść mi dali,
Przychodzę, byście chcieli mi uwierzyć.
Nie przyszłam do was po wasze pieniądze.
Przychodzę, byście rozdali je wszystkim.
Przychodzę do was z podartych namiotów,
wiatr je poszarpał i zabrała woda.
Proszę was wszystkich, proszę starych ludzi
i małe dzieci, i piękne dziewczyny,
zbudujcie domy srebrne jak namioty,
co w lesie stoją pobielone mrozem!
Nie przyszłam do was po wasze pieniądze,
Przychodzę, byście wszystkich przyjąć chcieli,
żebyście czarnej nocy nie czynili
w biały dzień.*

DIKCHAW DAJ...

*Patrzę tu, patrzę tam –
wszystko się chwieje,
to świat się śmieje
Na niebie gwiazdy drżą, migocą
I rozmawiają nocą...
Gwiazdy. Kto je rozumie,
ten spać nie chce i nie umie,
patrzy, gdzie droga mleczna –
oto droga szczęśliwa, bezpieczna...
Patrzę tu i tam i dalej,
gdzie srebrny księżyc kąpie się w fali
jak młodziutkie dziewczę
w ciepłej strudze podłesnej...
Cóż to się dzieje?
Wszystko się chwieje,
to świat się śmieje!*

Przełożył z języka cygańskiego Jerzy Ficowski
(tekst pochodzi z „Przekroju”, nr 383 z 1952 r.)

WIELOSTRONNY PORTRET PAPUSZY

Po wierszach Papuszy pt. „Le- sie, ojciec mój” Biblioteka wydała drugą książkę z podobną, skromną, ale elegancką okładką. Magdalena Machowska nadała jej tytuł „Ja, cygańska dziewczyna” i poświęciła samej poetce.

Wydaje się, że wiemy wszystko o genialnej Cygance, która tworzyła wiersze, a potem te wiersze stały się przyczyną jej potępienia przez pobratymców, choroby i innych nieszczęść. Taka legenda jest wzruszająca, buduje liryczną postać kobiety, gloryfikuje jej wolność. Prawda jest jednak znacznie bardziej smutna.

*

Magdalena Machowska dotarła do chyba wszystkich źródeł, które związane są z Papuszą. Okazało się, że jest ich całkiem dużo. W tym do legendarnego pamiętnika, nad którym w pełnej tajemnicy długo pracował Edward Dębicki. Niedawno Biblioteka przejęła rękopisy Papuszy i można z nich korzystać. Tyle że nie mówią one o Papuszy jako poetce. Papusza spisała zdarzenia ze swego życia w okresie od ósmego do czterdziestego roku życia. I raczej nie fakty, a wrażenia, swoje obawy, silne przeżycia. Ten pamiętnik dużo mówi o jej słabej kondycji psychicznej i o silnie rozbudzonej wyobraźni.

*

Opowieść o życiu Papuszy Magdalena Machowska zamknęła w kilka rozdziałach, np. „Wojenne losy”, „Dom”, „Powolne odchodzenie”. Autorka przedstawia każde zagadnienie z wielu stron, cytuje fragmenty artykułów, wywiadów, audycji radiowych, nawet filmów z udziałem Papuszy. Buduje jej wielostronny portret, tyle że zawsze wpisany w obyczajowość cygańską. Papusza urodziła się jako Cyganka i pozostała nią przez całe życie. Przypisywanie jej jakichś postaw politycznych jest czystym nieporozumieniem.

*

Natomiast z książki Magdaleny Machowskiej wylania się ciepły, troskliwy i oddany żonie jej mąż – Dionizy Wajs, nazywany po prostu Dyżkiem. Był znacznie starszy od Papuszy, więc często legenda przypisywała mu ograniczanie żony, podporządkowywanie sobie i cygańskim obyczajom. Tymczasem z cytowanych listów pisanych przez Dyżka do Jerzego Ficowskiego wyraźnie widać, jak troszczył się o chorą żonę, jak szukał dla niej pomocy, a co najważniejsze, jak bronił ją przez Cyganami, którzy zarzucili jej wyjawienie klanowych tajemnic.

*

Opowieść o życiu autorka dopełniła analizą zdjęć Papuszy, sytuując je w czasie i miejscu wykonania, ale mamy same opisy, bez obrazków. Także przypomniła ciekawe zabiegi o wydanie przez Poczta Polską kartek z wizerunkiem Papuszy, podkreślając udział gorzowskich urzędników i przyjaciół.



Ważny jest rozdział końcowy zawierający omówienia poszczególnych wierszy z podaniem miejsca publikacji i wariantów. W ten sposób Magdalena Machowska stworzyła podstawę dla literaturoznawców, którzy filologicznie opracują poetycki dorobek Papuszy. Mam nadzieję, że będzie to kolejna poświęcona Papuszy książka wydana przez WiMBP.

Magdalena Machowska, „Ja, cygańska dziewczyna. Bronisława Wajs-Papusza w dokumentach i w pieśniach”, wyd. Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, Gorzów Wlkp. 2020, 144 s.

ANTONI SŁONIMSKI

Z poematu „POPIÓŁ I WIATR”

*Czas był piękny i piękni byli w Polsce ludzie.
Jeszcze stała nad nami mgła romantyczności.
Słabi, ale radośni, jak po wielkim trudzie,
Nieśmiały szliśmy krokiem*

*po drodze wolności,
Lecz mieliśmy odwagę i kark mieli twarde,
Nim w błoto nie zepchnęły nas czasy pogardy.*

*Jeszcze Nike zwycięska łazienkowskim szlakiem
Szła szeleszcząc skrzydłami*

*wśród jesiennych krzaków,
Jeszcze się nie roilo wrzaskliwym jarmarkiem
Kunktorów, statystów, lizusów, cwaniaków.
Jeszcze się przed cenzorskim nie trzęsły obliczem
Łazienkowskie satyry śpiewane z Kudliczem.*

*Jak szybko się historii odwróciła karta!
Jeszcze wczoraj Warszawą Moskal dobroczyńca
Obdarzał kwiatem z ręki carskiego bękarta,
A już dzisiaj na plecach Żydów, Ukraińców
Świszcze nasza rodzima pałka mocarstwowa
Nie gorzej niż nahajka w ręku Suworowa.*

*Och, czyś kiedyś nie płakał słuchając tych zwrotek
O żołnierzu tułacz, co gnany zamiecią
Szedł o głodzie do Polski? Czyś w kurzu bibliotek
Zostawiał „Tadeusza” i „Dziadów” część trzecią?
Czyś już o tym zapomniał, że w młodości lata
Wiersz pisany po polsku był sumieniem świata?*

*Nie dlatego dotykam tej bolesnej rany,
Aby przeszłość osądzać, Bóg widzi, że winy
Odcierpiał już po stokroć lud ukrzyżowany...
Lecz gdy znowu na światło wyjdziemy z głębiny,
Przysięgnij na tę mękę, na łzy,*

*na ten cmentarz,
Że teraz nie zapomnisz, że teraz pamiętasz...*

POWIEŚĆ AKCJI

Bardzo trudno mi się pisze o książce Bronisława Pilicha „Mucha i ja”, bo jej podstawowym atutem jest fabuła, a jej przebiegu zdradzić nie mogę. Na stronie tytułowej czytamy: „Powieść zainspirowana autentycznym wydarzeniem, którego niektóre elementy pojawiły się w treści”. Często życie niesie takie zdarzenia, których nawet pisarz nie wymyśli. Bolesław Pilich poznał (osobiście? przez kogoś?) taką historię i postanowił ją przenieść do powieści.

*

Pewien 40-letni pan przypadkowo poznał ok. 40-letnią panią. Ta pani zamieszana była w niejasne relacje, więc on uznał, że szarmancko musi stanąć po jej stronie. Potem pełnia miłosnego szczęścia, ale i coraz to bardziej zaskakujące niespodzianki. Nie opowiem, co było dalej, bo niezdrowo znać zakończenie. Mogę tylko dodać, że opowieść kończy się szczęśliwie, choć za takim zakretem, którego nikt by się nie spodziewał.

*

Bronisław Pilich jest w Gorzowie znany przede wszystkim jako malarz i fotograf, miał kilka wystaw indywidualnych, także uczestniczył w zbiorowych. Lubi rysować i malować, więc w tę cechę wyposażył także swojego bohatera. Na końcu książki są reprodukcje kilku jego obrazów z podpisami wyjętymi z tekstu książki, nie wiadomo tylko, czy inspiracją było słowo, czy obraz. Powieść „Mucha i ja” jest jego literackim debiutem.

*

W literaturze w takiej samej mierze liczy się treść, jak i forma, czyli sposób zapisania. Książkę Bronisława Pilicha dobrze się czyta, napisana jest potoczystym językiem, zwyczajnym, codziennym, bez poszukiwań czegoś niezwykłego w warstwie słownej. Słabiej wypadają bohaterowie. Jest to opowieść pana, który jako narrator prezentuje się wyłącznie dobrze: przystojny, samotny, zakochany, szarmancki. Tyle że jeszcze bardzo naiwny. Pani – piękna rudowłosa, seksowna, czuła, oddana, ale... Nie mogę dokończyć zdania, bo ujawnię treść. Charaktery głównych bohaterów pokazane są raczej jednowymiarowo, bez próby ich pogłębienia. W drugiej części powieści, gdy nasz bohater znajdzie się w zaskakującej sytuacji, trochę się odsłoni, ale zaledwie na moment.

Powieść dzieje się tu i teraz, czyli współcześnie w Polsce, ale bez lokalizacji miejscowości i czasu akcji. Wiemy tylko, że akcja zaczyna się w dniu 40. urodzin bohatera, a kończy w dniu 41. urodzin, jednak bez podania roku kalendarzowego.

*

Bardzo popularne są filmy akcji i coraz popularniejsze stają się powieści akcji. „Mucha i ja” właśnie do takich należy. W filmach, jeśli nie wszystkie zdarzenia i sytuacje są w pełni uzasadnione, to je akceptujemy, bo obrazy przelatają jeden za drugim. Powieść rządzi się innymi prawami. Czytelnik sam w swojej wyobraźni buduje kolejne obrazy, a gdy mu się coś nie zgadza, wraca do tekstu. I wtedy okazuje się, czy sposób ich opisu jest wiarygodny, czy nie. Albo: czy pisarz przekonał czytelnika, czy lekko przeszarżował. W kilku sytuacjach Bronisław Pilich mnie przekonał, ale w kilku, niestety, nie. Pewnie za bardzo chciał urozmaicić akcję.

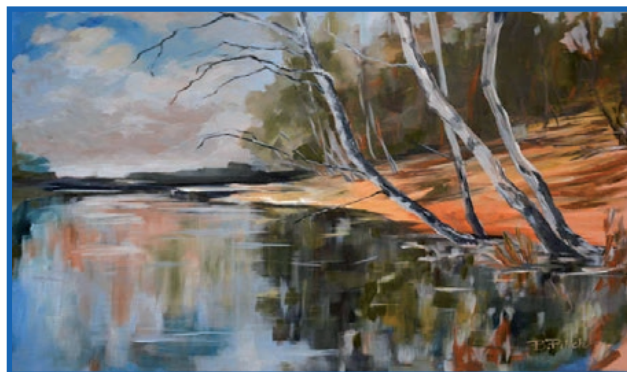
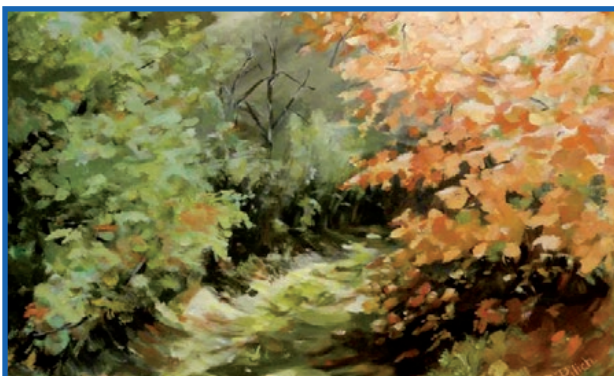
*

Atrakcyjna w sumie powieść ma jednak całkiem mylący tytuł. „Mucha i ja” kieruje czytelnika w stronę tematów przyrodniczych. Do tego sam autor namalował na okładce bardzo realistyczną, ładną muchę. W powieści bohatera molestuje autentyczna mucha, ale jest to niemal codzienne doświadczenie każdego człowieka w naszej szerokości geograficznej. Natomiast nie wyczytałam z powieści, że mucha ma tutaj charakter metaforyczny, choć pewnie o to autorowi chodziło.

*

Nie wiem, czy Bronisław Pilich zajmie się pisaniem następnej książki. Pierwszy krok ma już za sobą. Całkiem udany.

Bronisław Pilich, „Mucha i ja”, wyd. Szary Lew, Gorzów Wlkp. 2019, 240 s.



OBRAZY BRONISŁAWA PILICHA

O WSZYSTKIM, CZYLI O...

Iza mieszka w Moczkuwie, na granicy z Barlinkiem. Wszyscy bohaterowie tej książki chodzą po prawdziwych ulicach w Barlinku i Gorzowie, wszystkie lokalne realia się zgadzają, a jednak...

Iwona Żytkowiak, autorka mieszkająca w Barlinku, proponuje swoją kolejną książkę o kobietach. Ile już ich napisała? Chyba z dziesięć. Nie umiem się doliczyć, choć czytałam wszystkie. Tym razem główną bohaterką jest Iza, która ma największy problem, jak się zaszeregować pod względem statusu cywilnego: panną – była, mężatką – nawet dwa razy, wdową – była, rozwódką – także już była. A teraz – partnerką? Takie zestawienie sugeruje bogate życie uczuciowe i rozliczne przemiany naszej bohaterki. Najważniejszy był śmiertelny wypadek jej kochanego męża, gdy ona była na początku ciąży. Na szczęście nieczęsto, ale może się to zdarzyć. Zdarzyło się Izcie. Jak wyjść z takiej traumy? Kto może pomóc? Na kogo liczyć?

Autorka pokazuje zarówno środowisko rodzinne, jak i towarzyskie głównej bohaterki, w sumie dość liczne. Postać matki mogłaby wypełnić całą powieść, tak jest ciekawie zarysowana, ale tu tylko zarysowana. Ojciec – jak większość mężczyzn u Iwony Żytkowiak – bezbarwny, siostra – tylko zakochana w siostrzenicy, bracia – w świecie. Iza ma trzy bliskie przyjaciółki jeszcze z lat szkolnych. Teraz każda z nich ma swoje życie rozmaicie pokombinowane, ale we wszystkich przypadkach pokazane w sposób ogólnikowy. Dziewczyny spotykają się od czasu do czasu, deklarują przyjaźń, razem popijają w sylwestra, gdy nie mają z kim i gdzie się wybrać. Ale prawdziwą pomoc dostała od koleżanek tylko Zośka, choć akurat jej przypadek został w książce pokazany najmniej wyraziście. A to znów temat na inną powieść. Prawdziwą ostoją okazuje się dla Izy rodzinny dom, choć w miarę upływu lat coraz mniej w nim rodziny, a coraz więcej kłopotów związanych z jego materialną destrukcją.

W powieściach Iwony Żytkowiak panowie są tylko tłem dla kobiet. W tej zapowiadało się, że Iza znajdzie szczęście przy mężu, ale autorka go uśmierciła. Drugiego męża Izy na początku pokazała bardzo ładnie, a potem okazało się, że aż za ładnie, bo Iza nie zaakceptowała, że dba tylko o siebie. Na końcu książki pojawia się jeszcze jeden. Chyba ten najważniejszy... Zostańmy z tym przekonaniem, żeby autorka nie zdążyła zrobić mu jakiegoś krzywdy.

Tytuł książki ma formę pytania: „O czym Iza całe życie pamięta?”. Czytając ją, starałam się odpowiedzieć na to pytanie. Ażebym się nie pogubiła, na końcu każdego rozdziału drukowanymi literami podsumowano, co w nim było najważniejszego. Chyba po to, aby czytelniczki lepiej zrozumiały rozmaite odniesienia Izy do bohaterów. Tak, trzeba je podkreślić, bo z samego tekstu rozdziału te zależności nie są w pełni czytelne. Przepraszam: są, tyle że czytelnik nimi się nie przejmie, bo są powierzchowne, papierowe.



Naprawdę nie wiem, o czym Iza całe życie pamięta. Chyba o wszystkim, co jej się zdarzyło, ale jeśli o wszystkim, to znaczy, że nic nie było zdecydowanie ważne.

Niestety, Iza nie pozostanie w mojej pamięci, choć jest tak realnie posadowiona w swoim świecie. Powinna być taka prawdziwa, a okazała się zwyczajnie wpisana w schemat. Iwona Żytkowiak tryska pomysłami. Ma ich tak dużo, że – wydaje się – szkoda jej coś odrzucić. Dlatego w tej powieści tak wiele kobiet. I choć każda z ciekawym życiorysem, przy ich natłoku autorka nie może im poświęcić należytej uwagi. Robi się powierzchowne ujęcie bohaterek i ich świata. A przecież miał być najprawdziwszy, realny, z istniejącymi miejscami i sprawami. W tym prawdziwym świecie są także prawdziwe kobiety. Jednak lepiej je pokazywać po kolei.

torka nie może im poświęcić należytej uwagi. Robi się powierzchowne ujęcie bohaterek i ich świata. A przecież miał być najprawdziwszy, realny, z istniejącymi miejscami i sprawami. W tym prawdziwym świecie są także prawdziwe kobiety. Jednak lepiej je pokazywać po kolei.

Iwona Żytkowiak, „O czym Iza całe życie pamięta?”, wyd. Prószyński i S-ka, Warszawa 2020, 296 s.

Z KSIĘGI MODLITW DAWNYCH I NOWYCH ROMANA BRANDSTAETTERA

**Panie, każdy z nas umiera
W połowie drogi,
Nawet jeżeli jest stuletnim starcem.
Włeczemy za sobą łańcuch ułomnych dzieł,
Które chętnie stworzylibyśmy po raz drugi,
Gdyby nie była nam dana ta okrutna pewność
Że znów je powtórzymy
Z tym samym połowicznym skutkiem.**

**Co osiągnęliśmy?
Co zdobyliśmy?**

**Nic.
Albowiem nie wykarczowaliśmy wnętrza naszego
Do samych korzeni,
Aby uczynić w nim miejsce dla Ciebie
Dlatego nad nami gwiazdy krwawiące,
A w nas prawo moralne
Zmiazdzone**

**Taka jest nędza człowieka
Pod sklepieniem krwi**

13-LATEK I... 60 LAT PÓŹNIEJ

Rok 2020. Pandemia koronawirusa. Nie bardzo jest gdzie z domu wyjść. Nawet do lasu wstęp wzbroniony...

Tak rozpoczyna się najnowsza książka Marka Bucholskiego. Za parę dni Ewa i Marek Bucholscy mieli wyjeżdżać w Kordyliery Północne, a dokładniej w kanadyjskie Góry Skaliste i Góry Nadbrzeżne, czyli krainę Indian. Wyprawa zaplanowana, tereny dokładnie rozpoznane, przejazd, noclegi, przewodnicy zabukowani. A tu trzeba w domu siedzieć.

*

Z braku lepszego zajęcia Marek Bucholski wyciągnął z najgłębszej szuflady swoje zapiski, które robił, gdy miał 13 lat. Były to początki dwóch... powieści.

Sam się zadziwił. Zaproponował lekturę swojemu wnukowi, ale ten zlekceważył, bo ręcznie napisane. Kazał dziadkowi wpisać tekst do komputera. Dziadek wpisał, a potem opatrzył dwoma aktualnymi tekstami, które postawił przed i po niedokończonych powieściach pt. „Przygody Celnego Oka i jego przyjaciół” oraz „Na wyspie Robinsona”. Tak powstała dziesiąta książka Marka Bucholskiego, dziennikarza, ale przede wszystkim podróżnika i opisywacza swoich podróży. Państwo Bucholscy byli już w 80 krajach, nie licząc krain i regionów znacznie się różniących od administracyjnego centrum. Teraz Marek Bucholski proponuje czytelnikom „Podróże dziecięcego świata marzeń”.

*

Książkę rozpoczyna tekst skromnie zatytułowany „Od autora”. Zawarł w nim Marek Bucholski swoje współczesne refleksje wyprowadzone ze zwiedzania świata i rozlicznych, dogłębnych lektur. Bardzo często konfrontuje je z tym, co widzi w Polsce. Refleksje te dotyczą kilku tematów, ale najważniejsze to demokracja, religia i klimat. Jeżdżąc po świecie, obserwował rozmaite formy rządzenia: od dyktatury po komunizm. Także zajmował go światopogląd, a konkretnie obowiązująca tam religia i stosunek do niej zwykłych ludzi, a przede wszystkim sprawujących władzę. Jego zdaniem religia jest ludziom potrzebna, ale przede wszystkim tym, którzy rządzą. Bardzo uważnie przyglądał się zmianom klimatycznym i jest zdania, że w końcu naszego wieku zaczną się czas katastrofy dla człowieka.

Zbyt daleko idę w uogólnienia, bo procesy te w każdym kraju przebiegają nieco inaczej. Píše o tym Marek Bucholski we wszystkich swoich książkach, głębiej analizując to, co zobaczył.

*

Natomiast kończące całość „Posłowie” jest wspomnieniem lat dzieciństwa spędzonych w podzielonogórskiej wsi, potem w zielonogórskich szkołach. Jakże inne były warunki życia i zajęcia dzieci. W czasie wakacji razem z kolegami najczęściej bawił się w Indian albo w partyzantów. A były też gry w: kizkę, dwa ognie, jednego ognia, plucie na odległość i jeszcze z dziesięć innych, o których współczesne dzieci nie mają pojęcia.

Wraz z dorastaniem naturalne było poszerzanie horyzontów, budzenie się ciekawości świata. Ale świat w tamtych latach był zamknięty. Nie było telewizji, nie było internetu, nawet

czasopisma jak „Poznaj Świat” czy „Dookoła Świata” trudno było dostać. Jedyłą furtką była literatura, przede wszystkim książki Karola Maya o dzielnym Winnetou i innych Indianach. One rozbudzały dziecięcą wyobraźnię. Dlatego pierwsza powieść 13-letniego Marka Bucholskiego opowiada o „Przygodach Celnego Oka i jego przyjaciół”, w których na pewno on sam był Celnym Okiem.

*

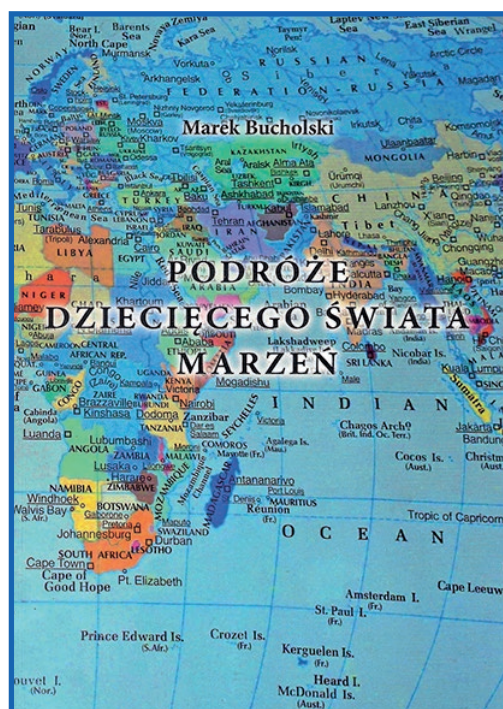
Dwie powieści, a właściwie tylko ich początki, są formą sentymentalnego powrotu do dzieciństwa i mówią przede wszystkim o marzeniach 13-latka. Wtedy na pewno nie śniło się mu, że kiedyś pojedzie do krain zamieszkiwanych przez Indian, że z bliska pozna warunki ich życia, obyczaje, tradycje. Oba teksty świadczą również, że już w dzieciństwie Marek chciał się wypowiadać poprzez słowo, że chciał pisać. I choć właśnie one stały się pretekstem do wydania książki, właściwie są w niej mniej ważne niż wspomnienia dzieciństwa i refleksje 70-latka.

*

Na tylnej okładce dwa zdjęcia. Z wykonanego w 1961 r. patrzy na nas poważny, czarnowłosy chłopiec w okularach. Drugie zostało zrobione w 2020 r. Tu siwowłosy pan, także w okularach, uśmiecha się do nas pobłażliwie. To oczywiście zdjęcia tego samego Marka Bucholskiego, które dzieli blisko 60 lat. A w książce – dowody przemian jego horyzontów intelektualnych.

„Podróże dziecięcego świata marzeń” to książka rodzinna, wydana przez autora w niewielkim nakładzie, przede wszystkim dla rodziny, przyjaciół, w zasadzie nie jest przeznaczona na sprzedaż, ale gdyby ktoś bardzo chciał...

Marek Bucholski, „Podróże dziecięcego świata marzeń”, wyd. Sonar Literacki, Gorzów Wlkp. 2020, 94 s.



MIŁOŚĆ JAKO SPISEK

Nie czytałam tej książki wcześniej, choć śledzę wszystko, co w literaturze dotyczy Gorzowa. Nie wiem, jak to się stało, że mi umknęła. Dopiero z inspiracji Renaty Ochwat zajęłam się książką Ilony Sychowskiej-Grzesiek „Spisek nad Wartą”, której akcja toczy się w końcu wojny w Landsbergu.

*

Przed publikacją książki Beata Patrycja Klary rozmawiała z jej autorką. Wywiad ukazał się na łamach „Pegaza Lubuskiego” w numerze 4 (33) z 2008 r. Ilona Sychowska-Grzesiek urodziła i wychowała się na południu Wielkopolski, ale spod Gorzowa pochodzi jej ojciec i z nim przyjeżdżała do dziadków oraz innych członków rodziny. Pewnie spojrzenie z zewnątrz sprawiło, że zafascynowała się urodą naszego miasta, przede wszystkim tym, co pozostało sprzed wojny. Bardzo ją zaciekała także historia naszych ziem, a szczególnie niebywała inwestycja podziemna, jaką jest Międzyrzeczki Rejon Umocniony.

*

Główną bohaterką „Spisku nad Wartą” jest Helena, Polka urodzona na pograniczu polsko-niemieckim (stąd jej bardzo dobra znajomość języka niemieckiego), a wychowana w Poznaniu. Tam studiowała, tam zastała ją wojna, tam zdecydowała, że będzie pracować dla OMEGI, czyli Organizacji Ziem Zachodnich „Ojczyzna”, która od 1939 r. działała na ziemiach polskich włączonych do Rzeszy. Jesienią 1943 r. dostała zadanie: zostanie sekretarką szefa „Organisation Todt” w Landsbergu. Dostała nowe imię i nazwisko – Linchien Kraft i nowe dokumenty. Odpowiedziała na specjalnie przygotowane ogłoszenie w prasie o poszukiwaniu sekretarki i podjęła pracę. „Organisation Todt” (OT) zrzeszała przedsiębiorstwa budowlane, które na zlecenie władz państwowych budowały obiekty wojskowe, m.in. MRU (niem. FFOWB). Helena miała do centrali wysyłać meldunki dotyczące tych budowli.

Szefem OT w Landsbergu był Peter Schultz, Niemiec, który na tyle nie akceptował Hitlera, że choć był posłusznym urzędnikiem, to godził się na współpracę z Polakami z OMEGI. On dał ogłoszenie, on pomagał swojej sekretarce. Do tego był młody, przystojny, elegancki i czuły, a ona śliczna i nieszczęśliwa.

*

„Spisek nad Wartą” jest przede wszystkim opowieścią o miłości. Nie da się ukryć, opowieścią banalną i schematyczną, choć osadzoną w nadzwyczajnych okolicznościach. Właśnie te okoliczności, czyli miasto Landsberg (czyt. Gorzów Wlkp.) oraz wznowiona w 1944 r. budowa Międzyrzecznego Rejonu, są tu najciekawsze. Tyle że portret miasta powierzchowny, taki, jaki autorce udało się wyczytać z różnych dokumentów. Czytelnik ma poczucie poruszania się w kilku miejscach wyobrażonych, a nie prawdziwych. Na przykład: biura OT mieściły się przy ul. Mauerstrasse, skąd samochodem dojeżdżano do centrum. A Mauerstrasse to dzisiejsza ul. Zabytkowa leżąca w samym centrum miasta. Natomiast bohaterka mieszka przy ul. Boehnstrasse. W Landsbergu była ul. Böhmstrasse, której nazwą upamiętniono Ralfa Böhma, architekta miejskiego. Dziś to ul. 30 Stycznia. Z powieści wynika, że te dwa punkty były od siebie znacznie oddalone. My wiemy, że odległość między nimi nie-duża. I tak jest z wieloma realiami: trzeba do nich podchodzić z dużą ostrożnością.



Długo czekałam na tytułowy „Spisek”. Nie było go wcale, chyba że spiskiem nazwiemy miłość Niemca i Polki udającej Niemkę w latach wojny. Długo ta miłość była całkiem szczęśliwa, a dopiero zakończenie wojny przyniosło nieszczęścia. Ale – zaręczam – jak w dobrym romansie tu też wszystko skończy się pomyślnie.

*

W przywołanym wywiadzie z 2008 r. Ilona Sychowska-Grzesiek powiedziała, że ma już gotowe dwie następne książki. W internecie nie ma ich śladu, więc chyba nie zostały wydane. Wiemy z niego także, że autorka zdecydowała się na wyjazd do męża do Anglii. Jak więc należy przypuszczać, zniknęła z horyzontu nie tylko jako autorka, ale także jako Polka. Szkoda, bo choć z Gorzowem związana była dość luźno, może jeszcze kiedyś przywołałaby nasze miasto.

*

Doskonały portret Landsbergu z lat wojny dała Christa Wolf we „Wzorcach dzieciństwa”. To wielka literatura. „Spisek nad Wartą” tej rangi nie osiąga, ale może stanowić dopełnienie obrazu.

Ilona Sychowska-Grzesiek, „Spisek nad Wartą”, wyd. My Book, Szczecin 2008, 234 s.

ARTUR WODARSKI

w nocy przyśnił mi się wiersz

zaczęło się od dwóch wersów
nie były wzniosłe i nie miały jeszcze siły rażenia
lecz mogły zostać początkiem od którego
wszystko się zacznie
teraz całość zależała od tego
w którą stronę podążą metafory
i czy mój sen nagle nie dobiegnie końca

ale nie nastąpiło nic takiego
wiersz toczył się gładko
omijał rafy wyświechtanych zwrotów
i nie dał złapać się w pułapkę gładkich słów
pał do przodu niezrażony chwilowymi niepowodzeniami
ani wtedy gdy rzucano mu pod nogi
kłody łatwych rymów
ani wtedy gdy zmieniano reguły
za pomocą tanich chwytów
z każdą chwilą stawał się silniejszy
potężniał

jedyne co mogło go ograniczyć to kropka
postawiona na końcu
ale ten wiersz zaczął się śnić już tysiącom
i kropka nie mogła go powstrzymać
a ostatnie w nim słowo mogło swobodnie oddychać

w nocy przyśnił mi się wiersz
któremu na imię było wolność

Książd Jerzy Hajduga przysłał nam swój kolejny tomik wierszy. Nosi znamienity tytuł „Uważaj na siebie”, z przestrołą często dziś powtarzaną. To – według moich obliczeń – 21. tom wierszy księdza z Drezdenka. Impo-
nująca liczba, szczególnie gdy się zważy ich ja-
kość. Ten liczy 35 wierszy oraz rodzaj poematu
z tytułem „Fragmenty z czasu kwarantanny”.

*

Jerzy Hajduga pisze bardzo krótkie wiersze. Jego podstawową zasadą jest wyrzucenie wszystkich słów, które dadzą się wyrzucić. Tym razem wyrzucił ich bardzo dużo, bo każdy wiersz liczy tylko trzy wersy, z których kolejny jest krótszy od poprzedniego. Np. pierwszy ma 7 sylab, drugi – 5, a trzeci – 3 albo pierwszy – 11, drugi – 7, trzeci – 4. Taka asceza słowna powoduje, że sens albo przesłanie wiersza przeniesione jest do tytułu. Wiele poprzednich wierszy Jerzego Hajdugi nie ma tytułów, a tu – jak się wydaje – po raz pierwszy autor docenia jego funkcję.

*

Jeden z wierszy ma tytuł „Moja mordko”. Oto jego treść:

*masz pomysł na
wyjście nocą
prowadź.*

Choć słowa te mówi narrator, wyraźnie czujemy, że to fragment rozmowy z kimś bliskim. Milczący rozmówca jest postacią niebanalną: mimo nocy ma ochotę na spacer. To pewnie nie jest pierwszy z jego dziwnych pomysłów, którymi często dzieli się z narratorem wiersza, bo może liczyć na jego akceptację. Narrator nie oponuje, nawet nie zgłasza swoich propozycji, od razu odpowiada: prowadź! Ta krótka odpowiedź dobrze charakteryzuje także jego.

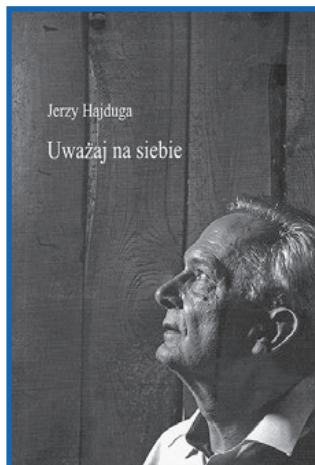
Ale kim są rozmawiające ze sobą osoby? W tytule narrator zwraca się do tej drugiej niezwykle czule: Moja mordko! Można tak pieszczotliwie powiedzieć do bardzo bliskiej, kochanej osoby. Ale może są to słowa skierowane do takiego małego, uśmiechniętego pieska, który właśnie musi posiuszać?

Sześć prostych słów, a co najmniej kilka możliwości interpretacyjnych. A przecież to tylko żarcik poety Jerzego Hajdugi, ale jakże pełen czułości.

*

Króciutkie wiersze Jerzego Hajdugi także celnie trafiają do naszych poważnych i trudnych sytuacji życiowych. Ostatnim powszechnym dotkliwym doświadczeniem była izolacja z okresu ostrej kwarantanny. Pamiętacie to zamknięcie w blokowym mieszkanku bez możliwości wyjścia do parku? Już nawet czytać się odechciewało.

Myśli zrodzone w takim okresie książd Jerzy Hajduga zmieścił pod wspólnym tytułem: „Fragmenty z okresu kwarantanny”. Przeczytajcie, przecież to Wasze myśli zapisał książd-poeta:



*nie wiem jak ty
chcę cię zobaczyć
całą*

*

*nawet gdy już dłużej czekam
mam chwilę na
wieczność*

*

*z kąta w kąt tylko
ściany kłócą się
o mnie*

*

*przed chwilą okno
odezwało się
ja też*

*

*stoję w oknie z widokiem
na moją uliczkę
nikogo*

*

*została odległość
nie podanie
ręki*

*

*jeszcze mebluję
krzesło przy
stole*

Jerzy Hajduga, „Uważaj na siebie”, wyd. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Biblioteka „Toposu”, t. 182, Sopot 2020, 48 s.

WIERSE Z KSIĘGI MODLITW DAWNYCH I NOWYCH ROMANA BRANDSTAETTERA

MODLITWA O ŚWICIE

**Codziennie składamy fałszywe zeznania,
Codziennie przysięgamy kłamliwie,
Codziennie ślubujemy,
nie dotrzymując przyrzeczeń,
Codziennie bijemy się w piersi,
Codziennie zapieramy się Ciebie.**

Świta

Jest to godzina ludzi zapierających się

**Ja to pianie koguta
Słyszałem w Jeruzalem,
Panie.**

BYĆ SZCZĘŚLIWYM W ŚWIĘTA

Od czasu „Opowieści wigilijnej” Karola Dickensa (1843) rozwinął się gatunek w prozie, w którym kluczową rolę pełnią święta Bożego Narodzenia. Podstawowy jego wyznacznik: wszystko musi się dobrze skończyć najpóźniej 24 grudnia, by święta dla głównych bohaterów były szczęśliwe.

*

Anna Wolf napisała w tej konwencji powieść „Zimowe serca”. Akcja rozpoczyna się na początku grudnia, a jak wiadomo, musi się rozwinąć na Boże Narodzenie, więc jej czas jest krótki. Tyle że autorka nie bardzo się nim przejmując, a sytuuje w nim tak dużo zdarzeń, że czytelnik gubi się w czasie. Miejsce akcji nie jest sprecyzowane. Na jednej stronie pada nazwa miasta Little Fals, a na sąsiedniej nazwa stanu Minnesota. Tyle że tę miejscowość od tego stanu dzieli spora odległość, a nazwy padają tylko raz. Odnoszę wrażenie, że autorka zapomniała którąś usunąć. Jedno jest pewne: jesteśmy w Stanach Zjednoczonych, i to na północy, bo padają tam wielkie śniegi.

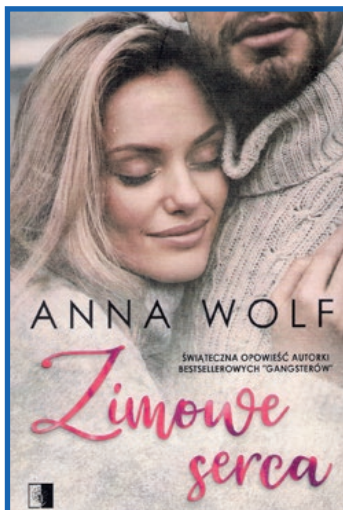
*

Ażebym opowieść dobrze się skończyła, trzeba wziąć dwoje bohaterów, najlepiej nieszczęśliwych. Anna Wolf stworzyła Tarę i Ericka. Tara ma za sobą nieudane małżeństwo, co prawda już zakończone rozwodem, ale z ciągle agresywnym byłym mężem oraz dwie nastoletnie córki. Erick był kiedyś dealerem narkotyków, robił jeszcze inne niesprecyzowane brzydkie rzeczy, co skończyło się dłuższym więzieniem. Obydwójce bardzo chcą być kochani, ale nie wierzą w znalezienie bliskiej osoby.

W powieści oczywiście spotykają się przypadkiem i żeby uwiarygodnić relacje, autorka im dodała wcześniejsze o rok ważne zdarzenie, podczas którego się tylko minęli. Przełamywanie wewnętrznych oporów zajmuje autorce pierwsze sto stron. Bardziej otwarty jest Erick, Tara – jak to kobieta – mniej, ale dość szybko łądzą w łóżku, a zaraz potem z córkami przeprowadza się do Ericka. Jednak do świąt pozostaje jeszcze sporo czasu. Czym go wypełnić?

*

Już w pierwszej części ważną osobą był Roger, były mąż Tary, tu pokazany jako cham, damski bokser i w ogóle nosiciel wszelkiego zła. Erick ma więc okazję do wykazania się troską o Tarę, opiekuńczością i silną ręką, bo panowie biją się ostro. Ale to mało. Z przeszłości wychodzą dawni kumple Ericka od brudnych interesów, szczególnie jeden, który przygotowuje dramatyczne zasadzki, dość długo szczęśliwie przez naszych bohaterów przewyżczane. Akcja leci na łeb, na szyję, choć nie bardzo rozumiem jej uzasadnienie. Jakby tego było mało, autorka dorzuciła jeszcze siostrę Ericka, którą on – na życzenie Tary – zaprasza do nich na Wigilię. Siostra przyjeżdża wcześniej, ale nie po to, aby odrodzić związki rodzinne, a po podpis Ericka, którym on ma się zrzec majątku po ich rodzicach.



Oczywiście między tymi zdarzeniami bohaterowie zakładają kolorowe lampki na zewnątrz domu, przynoszą ogromną choinkę i ją ubierają, pieką pierniczki, cały dom pachnie pieczonym indykiem i już, już wydaje się, że szczęście jest blisko. Ale – widać – autorka bała się, że będzie za słodko, więc zdecydowała się na... spalenie domu. Nasi bohaterowie odnajdują się w... szpitalu. Dopiero tu wyznają sobie miłość, a my, czytelnicy, jesteśmy przekonani, że do końca swoich dni będą ze sobą bardzo szczęśliwi.

*

Pewnie bym się nie zainteresowała tą banalną opowiadanką, gdyby nie wzmianka na skrzydełku, że Anna Wolf mieszka... w Gorzowie. Choć od wielu lat śledzę literackie życie naszego miasta, przynajmniej takiej autorki nie znałam. Na okładce „Zimowych serc” znalazła się także rekomendacja, że jest autorką bestsellerowych „Gangsterów”. Jak mnie poinformował internet, na trylogię o gangsterach składają się: „Serce gangstera”, „Pokusa gangstera”, „Zemsta gangstera”, a jest jeszcze kilka innych. Najnowsza, jeszcze gorąca jej książka nosi tytuł „Love-hate, hate-love”.

Choć te książki mają całkiem dobre oceny czytelników, lektura „Zimowych serc” nie przekonała mnie do ich przeczytania. Bo oprócz schematycznej konstrukcji akcji jeszcze bardziej razi mnie język. Odnoszę wrażenie, że autorka pośpiesznie pisała opowieść, jako że musi być na rynku przed świętami. Odbiło się to na ubóstwie słownym i braku dbałości o urodę tekstu. Przy tego rodzaju opowieści sentymentalno-świątecznej także nie widzę powodu do wprowadzania tylu wulgaryzmów. Może autorka jest przyzwyczajona do swojego gangsterskiego świata, gdzie taki język jest dopuszczalny, i nie widzi różnicy?

*

Jedno jest pewne: w Gorzowie mieszka autorka poczytnych powieści. Mnie nie przekonała, ale może na pierwsze z nią spotkanie wybrałam niewłaściwą powieść.

Anna Wolf, „Zimowe serca”, wyd. Niezwykłe, Oświęcim 2020



O PRAŁACIE, KTÓRY PODBIŁ GORZOWSKĄ SCENĘ

Bóg mnie przez teatr przeprowadził w sposób świadomy

Ksiądz Witold Andrzejewski zapisał się w pamięci gorzowian jako kapłan „Solidarności”, Szef dla młodzieży z Duszpasterstwa Akademickiego, proboszcz parafii WNMP przy ul. Mieszka I, ksiądz, który miał czas dla każdego człowieka. Bardzo mało osób wspomina go jako aktora Teatru im. Juliusza Osterwy, bo ze sceny zszedł w 1966 r., czyli ponad 50 lat temu. Ale nigdy nie ukrywał, a nawet szczycił się, że był aktorem.

*

Książka Krystyny Kamińskiej „Witold Andrzejewski. Aktor Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim” opowiada o latach 1960-1966. Były to pierwsze lata profesjonalnego teatru w Gorzowie, w tym cztery pod kierownictwem ręką Ireny Byrskiej. Dlatego opowieść o scenicznym epizodzie w życiu Witolda Andrzejewskiego stała się równoległą opowieścią o legendarnej pani Irenie, jej mężu, znakomitym reżyserze Tadeuszu Byrskim, kierowniku literackim teatru Zbigniewie Herbercie i o kulturze Gorzowa sprzed ponad 50 lat.

*

Książka składa się z czterech rozdziałów. Pierwszy, najkrótszy, prezentuje lata Witolda Andrzejewskiego od urodzenia w 1940 r. w Kownie do podjęcia pracy w gorzowskim teatrze, gdy miał 20 lat, czyli w 1960 r. Po pierwszym roku studiów w Państwowej Wyższej Szkole Teatralnej w Łodzi na wydziale aktorskim zdecydował, że będzie poznawał ten zawód na scenicznych deskach. Właśnie otwierano państwowy teatr w Gorzowie i dlatego przyjechał do zniszczonego przez wojnę 60-tysięcznego miasta z rozwijającym się „Stilonem”.

*

O scenicznej obecności Witolda Andrzejewskiego traktuje rozdział pt. „Teatralne lata”. W premierowym przedstawieniu „Balladyny” wystąpił jako Poseł ze stolicy Gniezna. Jako najmłodszy aktor zazwyczaj grał role drugoplanowe, ale wystąpił w 47 sztukach, czasami w kilku rolach, a wystawiono wtedy 57 sztuk. Najważniejszą jego rolą był Gustaw-Konrad w „Dziadach”. Choć były to tylko fragmenty dramatu Mickiewicza, ale z głównymi scenami, m.in. z Improwizacją. W recenzjach najwyższą ocenę dostał od Bolesława Solińskiego z „Nadodrza” za rolę komediową w sztuce „Lord z walizki”. Była to ostatnia rola, jaką zagrał na deskach teatru.

Od lutego 1962 do sierpnia 1966 r. pracował pod kierunkiem Ireny Byrskiej, którą cenił niezwykle. W 1963 r. zdał egzamin przed państwową komisją i prawo wykonywania zawodu aktora dostał w tym samym czasie co jego koledzy ze szkoły teatralnej. A doświadczeń miał znacznie więcej. 31 sierpnia 1966 r. z gorzowskiego teatru odeszła dyrektorka Irena Byrska, a także aktor Witold Andrzejewski.

*

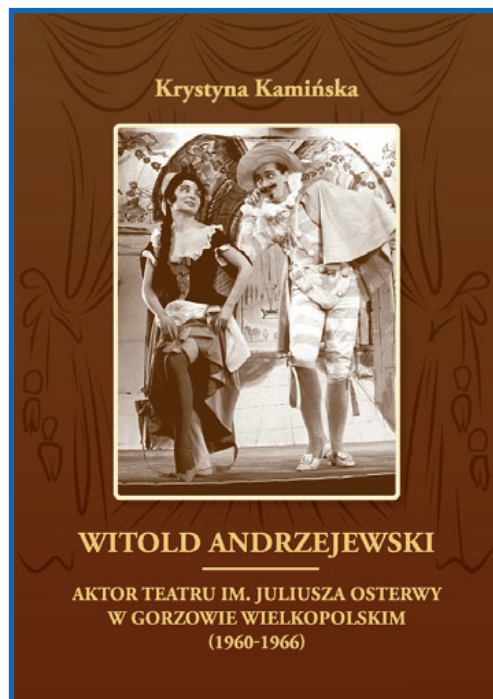
Kolejne rozdziały mówią o odejściach i o powrotach – trzeci Ireny Byrskiej, a czwarty Witolda Andrzejewskiego.

Pani Irena przeszła na emeryturę, ale swoją obecność zaznaczyła przede wszystkim jako aktorka w filmach Kiesłowskiego i Wajdy. Do Gorzowa przyjechała w 1996 r., miała wtedy 95 lat. Dumna była, że w Gorzowie wychowała księdza, i szczęśliwa, że mogła znów zobaczyć żywy teatr.

Imię Ireny i Tadeusza Byrskich nosi dziś sala główna gorzowskiego teatru, a w parku go otaczającym rośnie grab dedykowany pani dyrektorki.

Witold Andrzejewski podjął studia w seminarium duchownym i został księdzem. Nie wszedł już nigdy na scenę, świadomie odrzucał teatralne doświadczenia, by w jego słowach i zachowaniach dominowała prawda. A jednocześnie zawsze czuł się związany z teatrem, pomagał tym, którzy tworzyli teatr, ze znajomością sztuki scenicznej czytał wiersze w radiu „Gorzów” i propagował twórczość Zbigniewa Herberta, którego poznał jako kierownika literackiego naszego teatru.

W wywiadzie udzielonym Wiesławowi Antoszewi, czyli w książce „Od deski do deski”, powiedział: „Jestem pewien, że Pan Bóg mnie przez ten teatr przeprowadził w sposób świadomy”.



*

Oddzielną wartością książki są zdjęcia. Te z przedstawień robiła artystka fotografik Grażyna Wyszomirska, inne pochodzą z bogatego archiwum teatru, kilka publikowanych jest po raz pierwszy, bo zostały wygrzebane z zasobów Waldemara Kućki w Muzeum Lubuskim im. Jana Dekerta, a najnowsze udostępnili miejscowi fotograficy.

Krystyna Kamińska, „Witold Andrzejewski. Aktor Teatru im. Juliusza Osterwy w Gorzowie Wielkopolskim (1960-1966)”, wyd. Oddział w Gorzowie Związku Literatów Polskich i Teatr im. Juliusza Osterwy, Gorzów Wlkp. 2020, 112 s. Biblioteka Pegaza Lubuskiego.

66 PRZYJACIÓŁ

Ciekawe życie miał Eugeniusz Kurzawa! O, przepraszam, ciągle ma, ale użyłam czasu przeszłego, bo w książce „Spis treści” napisał o tym, co już się w jego życiu zdarzyło.

*

Od dzieciństwa związany był ze Zbąszyniem. Potem uczył się w Technikum Mechanicznym w Świebodzinie i zgodnie z przygotowaniem podjął studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej (dziś Uniwersytet Zielonogórski) na kierunku edukacja techniczna. Już trochę wcześniej dawała sygnały, a teraz odezwała się na dobre jego dusza humanistyczna. Na szczęście udało mu się przenieść na pedagogikę kulturalno-oświatową, a w latach 70. na tym kierunku studiowali najbardziej poszukujący i nowatorscy młodzi. Eugeniusz Kurzawa stale czegoś szukał, organizował i odkrywał, więc okazało się, że był u siebie. Pisał wiersze, ale równolegle ciągnęła go praca dziennikarza.

W końcu lat 70. rodziła się prasa regionalna, powstawały tygodniki wojewódzkie, jak w Gorzowie „Ziemia Gorzowska”. Eugeniusz postanowił wykorzystać tę okoliczność. Następnego dnia po zdaniu egzaminu magisterskiego wsiadł w pociąg i pojechał do... Suwałk, gdzie szukano młodych dziennikarzy. Pracował w suwalsko-mazurskich „Krajobrazach”, potem w białostockim „Kurierze Podlaskim”. Z naszego, zachodniego punktu widzenia, wyjechał na daleki wschód. Jednak ten wschód wcale nie był daleki dla ludzi kultury i sztuki z Warszawy, bo jeziora mazurskie i suwalskie przyciągały. Tamte miejsca pracy dały Kurzawie możliwość poznania bardzo wielu ciekawych ludzi.

*

Prawie 11 lat trwała suwalska przygoda Eugeniusza Kurzawy, a potem wrócił na stare śmieci, czyli do Zielonej Góry. Przez wiele lat pracował w redakcji „Gazety Lubuskiej”, pisał, zawsze działał społecznie, długo był prezesem zielonogórskiego Oddziału Związku Literatów Polskich. Ostatnio odezwały się zainteresowania stronami rodzinnymi, zajął się Regionem Kozła. Zawsze miał potrzebę zapisywania, gromadzenia, dokumentowania, a teraz na podstawie tych materiałów pisze książki. „Spis treści” do nich należy.

*

Praca dziennikarza, działalność literacka, a przede wszystkim usposobienie sprawiło, że Eugeniusz poznał wielu ciekawych ludzi. Wrodzona życzliwość sprawiła, że znalazł w nich przyjaciół. Spośród nich wybrał 66 osób, którym poświęcił bardzo osobiste wspomnienia, opowiadania, zapiski. Jedne dłuższe, bo kontakty bywały wieloletnie, inne krótsze, jak np. o Hannie Krall, gdy na jej spotkaniu autorskim stanął 50 proc. publiczności, jako że przyszły tylko dwie osoby.

Lekturę zaczęłam od sylwetek znanych mi osób, bo przecież to ciekawe, jak i co ktoś o nich napisze. Potem o nieznanym – jak się okazało – były to opowieści jeszcze ciekawsze. O wszystkich autor pisze z ogromną życzliwością, ciepło, dowcipnie, absolutnie nie popadając w penegiryzowanie. To duża sztuka.

*

Z Gorzowem Eugeniusz Kurzawa nigdy nie był związany zawodowo, niewiele więc naszego miasta na łamach jego książki. Ale jest.

Pierwszy rozdział poświęcił Zdzisławowi Linkowskiemu, długoletniemu dyrektorowi gorzowskiego muzeum. Tyle że pokazał go nie jako gorzowianina, a zbąszyniaka. Zdzisław Linkowski był nauczycielem Eugeniusza Kurzawy w podstawówce, rozbudził jego zaintereso-

wania historią, a szczególnie regionem. To Linkowski kazał uczniom wypytywać dziadków o miejscowe legendy, co sprawiło, że po ponad 50 latach Kurzawa spisał legendy z Regionu Kozła w książce „Biała dama z pękiem kluczy”.

Ciekawa historia wiąże się z naszym Jerzym Gąsiorkiem. Gdy Lidia i Eugeniusz Kurzawowie na dobre osiedli w Wilkanowie pod Zieloną Górą, na swoich włościach postanowili założyć Ogród Sztuk. Otwarcie chcieli zrobić z pompą. Eugeniusz wcześniej znał znakomitego rzeźbiarza Gustawa Zemłę i zapragnął, aby jego prace określiły rangę miejsca. Rzeźbiarz się zgodził, ale gospodarze nie mieli pieniędzy na transport, ubezpieczenie, katalog, honorarium itd. Eugeniusz wpadł więc na pomysł, żeby organizacją wystawy zainteresować dwóch dyrektorów galerii wystawienniczych, czyli w Zielonej Górze i w Gorzowie. Zielonogórski dyrektor propozycję przyjął entuzjastycznie, zapewniał, że przygotowania trwają, ale jak się okazało, nic nie zrobił. Ostatecznie nie było otwarcia Ogrodu Sztuk rzeźbami Gustawa Zemły, nie było wystawy jego prac w Zielonej Górze. Ale zawsze cichy i spokojny Jerzy Gąsiorek, wtedy dyrektor BWA w Gorzowie, kontakt wykorzystał. Wystawa prac Gustawa Zemły była wydarzeniem w życiu kulturalnym Gorzowa. Jerzy Gąsiorek poświęcił rzeźbiarzowi wiersz, który Eugeniusz włączył do swojej książki.

*

66 rozdziałów znakomicie się czyta, wszystkie opowieści napisane są żywym językiem, z humorem, ale także z podkreśleniem zasług przedstawianych ludzi.

Pierwszy tom aż domaga się kontynuacji z prezentacją następnych przyjaciół.

Eugeniusz Kurzawa, „Spis treści”, projekt okładki oraz ilustracje Aleksandra Kurzawa (córka), nakładem własnym, Wilkanowo – Zielona Góra 2020, 368 s.



Koło Literackie tworzą uczniowie klas drugich II Liceum Ogólnokształcącego w Gorzowie Wlkp. Spotkania młodych literatów odbywały się w czwartki od godziny 15 i dlatego zyskały nazwę „poobiadów czwartkowych”. W trakcie zajęć uczestnicy prezentują napisane przez siebie teksty literackie. Spotkania stanowią rodzaj konfrontacji artystycznych, ponieważ uczniowie przez tydzień piszą utwory na ten sam temat lub z tym samym motywem, czytają teksty, a następnie wspólnie je omawiają, interpretują, „poprawiają” i analizują. W ten sposób uczą się nie tylko wrażliwości na słowo, ale przede wszystkim wyrabiają swój warsztat pisarski, kształtują wyobraźnię, ćwiczą umiejętność pisanie nie tylko prac typowo „szkolnych”, uczą się, jak „wysłowić myśl” i jak „wymyślić słowo”. W każdy czwartek jeden wyraz staje się niezwykły. Takiej niesamowitości artystycznej nabrały wyrazy: gałka, okruc, schemat, spinacz, ramka, kropka, banan, maska, podłoga, cień, okulary, nitka oraz wiele innych, warsztaty literackie prowadzone są bowiem już drugi rok. I tak oto – dzięki literackim zajęciom przy ul. Przemysłowej – młodzież ma możliwość realizowania swoich artystycznych pasji oraz rozwijania talentu. Poprzez zakamarki i po meandrach świata literatury wędrują wraz z polonistką – Anetą Gizińską-Hwozdyk.

ZUZA GRYGIEL

Jestem uczennicą drugiej klasy w II LO w Gorzowie Wielkopolskim, a do kółka literackiego należę od całkiem niedawna. Mój styl cały czas się kształtuje, jednak najczęściej piszę teksty prozatorskie, w których czerpię z własnych przemyśleń i doświadczeń. Jestem bardzo radosną osobą, więc moje teksty na ogół mają w sobie nutę optymizmu. Czasem jednak moja fascynacja psychologią daje o sobie znać, a wtedy zaczynam zagłębiać się w mroczne aspekty ludzkiej osobowości.

ALFAMA

Lekkie, nieco znoszone buciki stukały równomierne o bruk, kiedy przemierzała starą dzielnicę miasta. Skręcała w kolejną uliczkę, której ciasnota wręcz pachniała gorącem. Smagnięcia zimnego wiatru, przecinające raz po raz nieustępliwą ścianę suchego powietrza, rozsypywały jej kruczoczarne włosy. Promienie słońca wyglądały nieśmiało spomiędzy wąskich szczelin dzielących stare kamienice i swoimi wszędobylskimi parzydełkami przyklejały się do jej ciała. Lecz ona kochała, gdy ją parzyły, kochała, gdy wiatr smagał i gdy nierówny bruk wykręcał jej kostki. Kochała całą Alfamę.

Tutejsze kamienice zastygły skulone ze strachu przed śmiercią i z każdym upalnym dniem pochylały się coraz bardziej ze znużenia, szukając nieraz oparcia w swoich najbliższych sąsiadkach. Rzucane przez nie cienie co prawda nie łagodziły pięknego skwaru, a ich stare zmęczone mury nie zatrzymywały chłodnych podmuchów wiatru. Lecz jak nikt inny rozumiały artystów. Tych zwykłych. Ulicznych. Niespełnionych.

W powietrzu unosił się zapach pomarańczy. Jasne niebo, przez które pędziło kilka białuśkich chmurek, było niczym drugi ocean, przez który co jakiś czas przetaczały się fale. Z każdego zakątka miasta buchało uderzające ciepło, tak uderzające, że aż bolesne. Nie, to nie było to słodkie, matczyne ciepło, jakie przychodzi na myśl, gdy widzi się schnącą po praniu bieliznę, zawieszoną (provokacyjnie!, stwierdziłby ktoś, biorąc w płuca swój pierwszy w życiu haust iberyjskiego powietrza) na barierkach balkonów. Tutejsze ziemie bowiem pojono krwią, wszystkie okoliczne wzgórza rosły wsłuchane w trzask pękających kości. Alfama nie zniżyłaby się do troskliwego wzięcia kogoś w ramiona, jakkolwiek dobrze nastrojony by nie był.

Ona kazała się nieść. Iść przed siebie, wsłuchując się w brak warkotu silników. Błądzić w sieci dróg niemal tak gęstej jak sieć zawieszonych między budynkami kolorowych girland. A tym o słabszym ciele po prostu rzucać się ze wzgórza – w dół. Żeby coś zmieniać. Cień codzienności przywdziewać na siebie jako czarny szal i pozwolić rozkosznie pieścić swoją duszę bezkresnemu cierpieniu. Wśród ścisku i duchoty, w oparach dymu i ze smakiem spokoju w ustach słuchać tych śpiewów, jęków i skarg, i płakać, i świętować, i dać się porwać, o, Maria!

I nagle – jakby czerwona kropla skapnęła na czarny materiał. Coś zaczyna powiewać w oddali. Coś tajemniczego, coś niewłaściwego, pociągającego i egzotycznego. Coś obcego, wschodniego, tradycyjnego i nietutejszego. Wszyscy tego chcą i wszyscy tego pragną, i gdy się kończy, to dla każdego z osobna inaczej. Lecz kto by myślał o końcu, gdy gna go rytm odległego oceanu?

JOANNA ŁEBKOWSKA

Jestem uczennicą klasy drugiej w II Liceum Ogólnokształcącym w Gorzowie Wielkopolskim. Koło literackie współtworzę wraz ze swoimi rówieśnikami od początku jego istnienia. Na tych zajęciach rozwijam się literacko, wykorzystując swoje zamiłowanie do krótkich tekstów prozatorskich. Poruszam w nich ważne problemy społeczne i odwołuję się do własnych przemyśleń. Samodzielnie rozwijam się także pod kątem dłuższych opowiadań, wśród których królują dystopie i historie fantasy.

DZIECKO NATURY

Istnieją takie istoty na ziemi, które żyją, by się rozwijać. Najpierw kształtują korzenie, trzymane kurczowo w ramionach matki natury. Nabierają charakteru i siły dogłądane przez setki par zaciekawionych oczu. Pielęgnowane ze szczególną rzetelnością, zyskują poważne kształty. Dopiero odpowiednio wypielęgnowane przez swą opiekunkę, mogą opuścić jej własną ostoję. Mogą zacząć przebijać się na światło dzienne. Te trudne godziny ucieczki z podziemia na otwarty świat uważane są za tak niezwykle czas. Bezbronne stworzenie gna w nieznane, lecz nie boi się wyzwań i pragnie poznać coś więcej poza ciepłem swojej mamy. Chociaż tej ciężkiej drodze towarzyszą nieraz łzy, jest to czas rozkwitu życia. Ono z tak wielką chęcią wychyla swą główkę i oddycha po raz pierwszy powietrzem. Nieznane jest mu jeszcze namacalne piękno, lecz czuje. Bo istnieje. Bo zapuściło już korzenie, trzymając za rękę swoją rodzicielkę w tej wędrówce przez ten interesujący świat. Nie jest jeszcze piękną rośliną, ale pomiędzy wilgotną ziemią da się dostrzec już to małe, niepewne swoich ruchów stworzonko. Istotę bezbronną, choć już ciekawą niebezpieczeństw bardziej niż jakikolwiek doświadczony już kwiat.

Na początku nie widać zbyt wiele, lecz z każdym dniem pnie się w górę, wystawiając się na słońce, które przecież jest esencją tego istnienia. Szmaragdowa łodyżka będąca tym jeszcze kruchym kręgosłupem z trudem utrzymuje całe uroki tego urokliwego twor. Po każdym nieudanym kroku, po każdym silnym powiewie wiatru bohatersko podnosi się na nowo, by jak najszybciej ponowić ciężką próbę stawienia czoła wszelkim przeciwnościom natury. W końcu jednak jest na tyle silna, by na jej końcu wykwitło coś o wiele piękniejszego od niej samej. W odpowiednim czasie rozkwita na dobre serce każdego z tych żywotów. Tętni ono gdzieś głęboko, chronione na wszelkie możliwe sposoby. Chociaż biło już dużo wcześniej, teraz spokojnie można wysłyszeć te miarowe takty w stwo-

rzonej przez przyrodę ciszy. Otoczone jest jednak tym, co w tej istotce najprzyjemniejsze dla oka. Te delikatne, mlecznobiałe płatki na początku są jeszcze kruche i łamliwe. Wiatr i deszcz muszą się z nimi obchodzić wyjątkowo subtelnie, by nie uszkodzić tej jeszcze słabej bariery. Każdy z tych płatków nabiera odpowiedniego koloru, który jest przecież unikalny dla każdego z dzieł natury. Niektóre różowieją, jakby wstąpiło na ich twarzyczki zawstydzenie. Inne przez deszcz brudzą się i widnieją na nich brązowe plamki. To jedno stworzenie jednak natrafiło na bardzo łagodną pogodę i już po kilku dniach mogło urzekać swoją finezyjnością i lekkością. Lecz to pomiędzy tymi płatkami krył się skarb – bezbronne wnętrza kolorem dorównujące samej tej gorącej gwiazdzie na błękitnym niebie. Tak pilnie pilnowane, by nie zostało skradzione z tego ziemskiego raj.

Cała ta niezwykłość życia nie była jednak nigdy jedyną. Była tylko jednym z wielu kwiatów na tym pięknym, rozłożystym drzewie. Potęga ta jest o wiele większa niż pojedynczy pąk. Ono wytrzymuje każdą burzę i wichurę, choć nieraz jedna z najwyższych gałęzi spadnie z głośnym trzaskiem na ziemię. Wtedy powoli znika w odmętach śniegu, który co roku przykrywa każdą niedoskonałość w obawie przed łzami całej jabłoni, która już niedługo powinna rodzić nowe owoce i kwiaty. Powinna tworzyć nowe drogi życia, które raz na jakiś czas bywają ucinane lub zrywane. Lecz samo drzewo nigdy nie rezygnuje z tworzenia istnienia, które w tak piękny sposób zakwita na oczach całego ogrodu. Każdy z kwiatów ma za zadanie zakwitnąć i rozwijać się dla piękna i uznania. Przecież żaden z tych młodych, zamkniętych na świat pąków nie powinien martwić się o sprawy schorowanych części jabłoni. Ma rosnąć, a w końcu wydać i piękny owoc życia. Póki jest dzieckiem, może jednak cieszyć się czystą pięknnością świata i odszukiwać w nim własną drogę, by stworzyć w przyszłości własne drzewo.





Zmarł powieściopisarz, członek Związku Literatów Polskich

HENRYK WAWRZYNIEC KORDOŃ

Urodził się 6 sierpnia 1931 r. w Malawie pod Rzeszowem. Od 1954 r. mieszkał w Gorzowie. Pracował w szkolnictwie i organizacjach młodzieżowych, później w partyjnych komitetach w Świebodzinie i Gorzowie Wlkp. Za sprzyjanie ideom „Solidarności” odszedł z partii w 1981 r. Na emeryturze osiedlił się z rodziną nad jeziorem we wsi Lubikowo w powiecie międzychodzkiem.

Od dzieciństwa interesował się literaturą i pisarstwem. W roku 2006 otrzymał Lubuski Wawrzyn Literacki za powieść w trzech tomach pt. „Kmieć Sokolic z roli”, przygotowaną do druku 24 lata wcześniej. Książka opowiada o życiu XIX-wiecznych chłopów na Podkarpaciu. Ta książka dała mu cenzus członka Związku Literatów Polskich. W nocy biograficznej pomieszczonej w almanachu „Literaci w Gorzowie pod skrzydłami Pegaza” krytycy zwracają uwagę przede wszystkim na język Henryka Wawrzyńca Kordonia, że jest on autonomiczny, odrębny, gdzieś tylko przywołujący echo największych twórców literatury chłopskiej. Nie ma tu wulgarności Redlińskiego, za to miejscami można się natknąć na sceny z podobnym ładunkiem humoru jak w „Konopielce”. Wybitny znawca wszystkiego, co ludowe, prof. Roch Sulima z Uniwersytetu Warszawskiego umieszcza „Kmiecia” właśnie pomiędzy „Chłopami” a „Kamieniem na kamieniu”. I to jest najtrafniejsza z możliwych opinii. W 2011 r. wydał drugą sagę pt. „Koniec drogi do raju”. W jego domowym archiwum leży kilka innych powieści gotowych do druku.

Zmarł 22 października 2020 r. w skwierzyńskim szpitalu z powodu gorączki COVID-owej. Pochowany na tamtejszym cmentarzu.

PANORAMA WOJEWÓDZKIEGO MIASTA

Akcja gorzowskiej powieści „Koniec drogi do raju” rozpoczyna się w 1975 roku, gdy powieściowy Mieszków stał się stolicą województwa. W latach 1975-1981 był w Gorzowie jedną z ważniejszych osób na stanowiskach partyjnych. W powieści opisał świat, który znał z własnych obserwacji. Występuje w niej 150 postaci z rozmaitych środowisk: od I sekretarza Komitetu Wojewódzkiego partii po duchowieństwo. Treścią zaś jest panorama przemian w latach 1975-1981, obraz najważniejszych polskich wydarzeń tamtych lat odbitych w rzeczywistości miasta średniej wielkości. Część pierwsza to budowanie struktur nowego województwa, zachłystnięcie się niezależnością, a stąd już krok do samowoli partyjnej i administracyjnej. W części drugiej autor pokazuje, jak zmieniały się postawy ludzi pracy po wydarzeniach w Radomiu i powstaniu Komitetu Obrony Robotników. Tu także ważne przemiany wśród duchowieństwa, rodzenie się ruchu oazowego, ogólnie budzenie się w ludziach potrzeb religijnych. Część trzecia ukazuje reakcję ludzi na wybór i na pierwszą wizytę w Polsce Ojca Świętego Jana Pawła II, czyli zarzewie przemian. Zaś część czwarta poświęcona jest rodzeniu się Solidarności i – równolegle – degradacji partii, dotąd siły najważniejszej. Akcja kończy się wprowadzeniem stanu wojennego, ale dla autora jest to jednocześnie zwycięstwo idei demokratycznych i wolności politycznej.

Na ponad 800 stronach Henryk Wawrzyniec Kordon stworzył szeroką panoramę przemian mentalnych i politycznych w końcu lat 80. Powieść jest precyzyjnie skonstruowana, każda scena ma uzasadnienie, każdy bohater reprezentuje określone środowisko lub postawę. To – zgodnie z tytułem – „Koniec drogi do raju”, bo raj, jaki oferowała PRL, okazał się złudą. Nie znam książki, która by równie sugestywnie i prawdziwie pokazywała życie polskiego miasta w tym okresie. Jest przy tym napisana żywym językiem, z dużą ilością dialogów, zmiennością scen i bohaterów. Swoje literackie wyobrażenia mają tam liczne procesy społeczne i polityczne owych lat, np. ujawnianie nadużyć z pierwszych lat Polski Ludowej, czyli okresu walki z opozycją, nadużyć Urzędu Bezpieczeństwa, także przemiany stosunku do Niemców i Niemiec jako państwa wówczas politycznie wrogiego, dochodzenie do głosu prawdy o radzieckich zsyłkach na Syberię, przez tak wiele powojennych lat odsuwane w niebyt. Autor świadomie patrzy na rzeczywistość z socjologicznego i politycznego punktu widzenia, ale wyraźnie nie radzi sobie z wątkami psychologicznymi. Sfera przeżyć duchowych, szczególnie miłosnych, razi powierzchownością ujęcia.

Ci, którzy nie pamiętają tamtych czasów, mogą się dużo o nich nauczyć. Ci, którzy przeżyli je w Gorzowie, na łamach książki spotkają bohaterów podobnych do swoich znajomych, szczególnie z kręgu władzy. Dla niektórych „Koniec drogi do raju” był nawet powieścią z kluczem, doszukiwano się pierwowzorów literackich postaci. Ale nie takie relacje są najważniejsze. To ciekawa panorama miasta w ciekawym okresie historycznych przemian.

I.K. Szmidt

KONIEC DROGI DO RAJU

W krótką czerwcową noc posąg świętej Katarzyny zniknął z wnętrza fasady dworca PKP. Dopóki spieszący się podróżni przeważnie opuszczali perony lub biegli do odjeżdżających pociągów, nikt nie zwracał uwagi na brak kolejarskiej Patronki. Kiedy kolejarze zaczęli przychodzić na ranną zmianę, ktoś bardziej spostrzegawczy wskazał pustą wnękę. Na przydworcowym placu zakotłowało, grupka gapiów rozrastała się w zwartą ludzką masę, która kipiała z oburzenia, a poszum gniewu niósł się na budzące się miasto.

Skandal, skandal! – wrzeszczały rozhisteryzowane kobiety.

Skandal! – wydierała się młodzież, wnosząc w ulice nastroj przestrogi, wyolbrzymiając zajście i zwiastując nowe zagrożenie.

O tej porze ruch pasażerski nasilał się, ludzka powódź rozlewała się wszędzie, zablokowała podziemne przejścia i hole, uniemożliwiając funkcjonowanie obsługi. Przez głośniki rozlegało się nieustanne nawoływanie do nieutrudniania ruchu i rozejścia. W falujący oburzeniem tłum wkradała się nerwowość, agresja połączona ze wściekłością i bliska wybuchu nieobliczalność.

– Matko Boska, tratuja! – wzmagął napięcie przeraźliwy krzyk.

– Gdzie nasza patronka?! – skandowali kolejarze.

– Święta Katarzyno, wstaw się za nami! – powtarzały niezmordowane dewotki.

– Święta Boża Rodzicielko! – rozpoczęły litanie do Matki Boskiej inne. – Święta Panno nad Pannami...

– Podróżni i kolejarska braci! – głośiły megafony. – Mówi do was zawiadowca stacji. Wysłaliśmy delegację po sekretarza Waldemara Kryngała. Wracajcie do domów, idźcie do roboty i szkół. Rozejdźcie się, proszę!

– Precz z komuną! Precz z Kryngałem! – zareagował wzbudzony tłum.

– Proszę państwa! – trzeszczały głośniki. – Tu przewodniczący Solidarności na węźle PKP, Józef Mułysz. Informuję, że komisja zakładowa Solidarności przekształciła się w komitet strajkowy. Rozpoczynamy okupację budynku dworcowego, dopóty nasza święta patronka nie wróci na swoje miejsce. Dlatego gorąco proszę osoby postronne do rozejścia się. Niebawem skierujemy ruch pasażerski na przejścia zapasowe, by umożliwić terminową odprawę pociągów. Powtarzam...

Po trzecim wezwaniu przycichło trochę. Zdawało się, że bojowy zapal gawiedzi ostygł. Z ludzkiej ciżby wymykały się grupki robotników, by zdążyć na zmianę, ale młodzież pozostawała podniecona ciekawością. Perony, przejścia i hol powoli pustoszały.

Przed dworcem skupisko kobiet odmawiało różaniec. Jeszcze moment, a wszystko wróciłoby do normy.

Wtedy w ulicach dojazdowych pojawiły się plutony szturmowe MO i kompanie ORMO, zaś od tyłu na stację wkraczało wojsko. W stronę rozmodlonych kobiet wystrzelono pojemniki z gazem. Huk odpalanych rac, żący dym i niehumaniczny okrzyk przerażenia przemieszały się w straszny raban. Milicyjne dwuszeręgi opasywały tłum, zwierały się, napierając, w ruch poszły szturmowe pały.

– Biją! – rozległy się pierwsze jęki.

– Jezus, Maria! – przebiegło przez tłum ostrzeżenie.

– Hitlerowcy, Enkawudyści! – darli się bici. Nie dajmy się, rodacy! – huczały dworcowe głośniki. – Bandyci! Precz z komuną! – wyła młodzież.

– Na komitet! – zachęcał ktoś prowokująco.

Brawurowy atak milicji zakończył się łatwym powodzeniem, bo z tyłu ciżby rzuciły się do ucieczki. W pomieszcze-

niach dworcowych prędko zabralo miejsca dla wszystkich.

W powietrzu unosił się gryzący zapach gazu, odgłosy zgiełku i trwogi, a na bruku zostały dwie z kobiet, które nie mogły się podnieść. Na pełnym sygnale zajeżdżały karetki pogotowia.

– Rozejść się, rozejść! – grzmiały radiowozy.

Kazetenpowcy zdążyli opanować budynki i zatarasować wejścia od frontu. Milicja zajęła się wyłapywaniem szamocących się bezradnie manifestantów. Główne siły szturmowe w ochronnym ekwipunku przystanęły wzdłuż ścian, jakby wytraciły impet i chęć wgrzyzania się w mur.

– Uwaga, kolejarze! – wołał milicyjny megafon. – Wzywamy do pokoju! Wracajcie do obowiązków!

– Oddajcie posąg świętej Katarzyny! – odpowiedziały dworcowe głośniki. Milicja nie ma z tym nic wspólnego! To chulikański wybryk miejskich oprychów! Sprawcy zostaną ukarani! Uczynimy wszystko, żeby odnaleźć statuę świętej.

– Nie wierzymy!

– Przemówi do was członek KC, poseł na Sejm, pierwszy sekretarz KW i przewodniczący WRN, powszechnie znany Waldemar Kryngał! – Uuuu! Fiuuu! – odpowiedział pomruk i gwizdy. – Precz z Kryngałem! Precz z komuną!

– Dość przemówień, dość obietnic, dość zwodzenia! – huczały głośniki. – Chcemy prawdy, chleba i spokoju!

– Precz z Kryngałem! – wołały tysięczne głosy.

Przypadkowy chwyt, który powiódł się Krzysztofowi Grafovi przed Michemem, przez kolejarzy został wygwizdany.

– Niech żyje Solidarność! – powtarzane niezmordowanie nie dopuściło sekretarza Kryngała do głosu.

Po wielu wezwaniach komitet strajkowy PKP zgodził się na przyjęcie przedstawicieli władz. Joachimowi Sieczkoniowi, Nikodemowi Bałuchowi i Jarmile Pankracz bardzo zależało na odblokowaniu dworca przed południowym szczytem przewozowym. Inżynier Józef Mułysz ograniczył żądania do zwrotu figury świętej Katarzyny.

– Poszukiwania nie dały rezultatów – powtarzał kapitan Bałuch, wierząc w wymowę wojskowego munduru. – Znajdziemy! Tymczasem siły porządkowe zdążyły się przegrupować. Na opustoszałym plac wjechały dziesiątki wojskowych i milicyjnych ciężarówek szczelnie okrytych brezentami. Część oddziałów ORMO przy wyjściu z dworca utworzyła podwójny szpaler jak na powitanie. Atak kompanii MO nastąpił od strony peronów i tuneli. Zanim zaskoczeni kolejarze zdążyli pomyśleć o obronie, musieli uciekać, gdyż ponownie posłużono się gazem.

– Przez spedycję! – zdołał ktoś wypatrzeć zbawienną drogę odrotu.

Wypożyczeni w maski gazowe szturmowcy zdecydowanym parciem do przodu siali postrach i przerażenie.

Zdecydowana większość robotników krztusząc się, płacząc i wymiotując, rzuciła się ku głównym drzwiom wyjściowym. Błyskawicznie usunięto podpory. Wypadali na zbawcze powietrze, a wpół oszołomieni, bezbronni. W szoku padali na bruk, próbowali się ratować, prosić o litość. Oprzytomnienie przywracał im bolesne uderzenia pał. Szpaler spychał ich ku ciężarówkom, gdzie następne uderzenia zmuszały do ucieczki w przepastne paszce aut jak w piekielną czeluść.



Przepełnione chlubą socjalizmu samochody czym prędzej odjeżdżały, ustępując miejsca następnym. Przystawały dopiero na nowym poligonie za miastem i ku ucieście konwojentów pozbywały się ładunku. Powrót pieszko do Mieszkowa zajmował nieraz po kilka godzin. [...]

Sekretarz Kryngał rzucił na biurko przeczytany meldunek wojewódzkiego szefa SB. – Słuchaj, pułkownik Leszkiewicz – krzyknął w słuchawkę – za pięć minut chcę cię widzieć u siebie! Jasne?!

Oczekiwanie na pułkownika Benona Leszkiewicza doprowadzało Waldemara do białej gorączki. Zapalił i wykruszył na popielniczce cały swój zapas papierosów, wracał do lektury poszczególnych akapitów meldunku, to podtrzymywał dłonią spadające mu na czoło włosy. Potykając się o gruby dywan, z niecierpliwości biegał po ogromnym gabinecie lub podchodził do okien.

– Melduję się na rozkaz, sekretarzu – nie wiedział, o co chodzi, wystraszony szef SB.

– Słuchaj, Leszkiewicz – syknął gniewnie sekretarz KW – tymi twoimi rewelacjami o Grafie, o Runiewicz i ministrze Maryniaku, o Kumperskim możesz sobie podetrzeć tyłek. Tego, że Graf odkrył, iż jego ojca zamordowało UB, ty oczywiście nie wiesz. A ja wiem też, że szamoce się człowiek, bo nie wie, jak to pogodzić z uczciwą służbą partii, a ty podpatrujesz, z kim się spotyka.

– Myślałem, sekretarzu...

– Milcze! Runiewiczowa towarzyszyła Maryniakowi z mojego polecenia.

– Nie wiedziałem, sekretarzu.

– Milcze! A Kumperski nie jest pokerowym pogromcą. I ja grywam czasami dla przyjemności. Skubnąłem go ostatnio na kilka tysięcy. Masz ten swój szpargał. Dopisz.

– Towarzyszu pierwszy sekretarzu – pułkownik SB zrozumiał, że to nie przelewki.

– Graf uprzedził mnie także, że jego żona chce odwiedzić chorą matkę. Niedobrze, że w RFN, ale to nie jest żadna zbrodnia, pułkownik! – ochłonął nieco Waldemar. – Bez mojej zgody zabraniam ci po raz ostatni podpatrywania aparatu partyjnego. Zrozumiano?!

– Tak jest, sekretarzu.

– Za następny taki meldunek zapłacisz szlifami. Jasne?!

– Tak jest, towarzyszu pierwszy sekretarzu.

– O tym, że parafie nasiliły akcję oazową, nie napisałeś słówkiem.

– O tym, że więcej duszpasterze opanowali latem kolonie, obozy i biwaki, nie raczyłeś nawet napomknąć. O tym, że kościelni dewociarze penetrują osiedla, prowadzą badania nośne gruntów i przeprowadzają ekspertyzy opuszczonej wytwórni prefabrykatów, także milczysz. O tym, że kapucyni opanowali mieszkowskie szpitale, a franciszkanie punkty katechetyczne, po prostu zapomniałeś. To ma być rozeznanie? Zapewne twój kierowca wie więcej od ciebie. Mam powiadomić Warszawę? [...]

Henryk Wawrzyniec Kordoń, „Koniec drogi do raju”, wyd. Oddział Związku Literatów Polskich, Gorzów Wlkp. 2011



Z KSIĘGI MODLITW DAWNYCH I NOWYCH ROMANA BRANDSTAETTERA

LITANIA O ZBAWIENIE OD GŁUPOTY

*Zbaw nas od głupoty, Panie!
Jesteśmy solą zwietrzałą i bezużyteczną.
Nie umiemy żyć, nie umiemy myśleć,
Nie umiemy patrzeć, nie umiemy słyszeć,
Nie umiemy niczego przewidzieć,
Nie umiemy z nieszczęść
Wyciągnąć zbawiennych nauk,
I tak wspinamy się – zgraja ludzi
Opętanych żądzą zdobywania –
Po stromej drabinie złudzeń,
A jej szczeble pękają i łamią się
Pod ciężarem naszych nierozważnych kroków.*

*Czyniąc wszystko na przekór
zdrowemu rozsądkowi
I przyrodzonej skłonności do trwania,
Idziemy urojoną drogą do urojonego celu,
W klęskach naszych upatrujemy zwycięstwa
W zwycięstwach nie widzimy zarodków klęski,
W nonsensie upatrujemy sens,
A mowę – ten przywilej i chlubę naszego wybraństwa
Uczyniliśmy narzędziem pustej paplaniny
I brzydoty i jadowitego kłamstwa,
Na którym usiłujemy zbudować wielkość człowieka.*

*Boże nieskończonej mądrości,
Stworzycielu doskonałego kosmosu
I najpiękniejszej ziemi,
Nieśmiertelnej duszy i mózgu, i szarych komórek,
I pięciu zmysłów i wolnej woli,
Wyzwól nas z drapieżnych szponów głupoty
Od tej sprawczyni naszych błazeńskich zamiarów
I czynów i upadków i jałowego życia [...]
I daj nam mądrość oczyszczenia,*

*Nam, synom ziemi,
Soli zwietrzałej i bezużytecznej.*

BAŚNIE NIE BAŚNIE

Na okładce wieża gorzowskiej katedry malowniczo opleciona obłym cielskiem smoka, z którego wyrastają gustowne krzaczki. Powyżej jakieś inne baśniowe stwory podobne do węgorzy lub latawców. Takie otoczenie dla naszej starej katedry wymyśliła Anna Kowalczevska, a tym obrazem redakcja „LandsbergONu” okrasila numer szósty półrocznika.

*

Numer – jak zwykle – otwiera wstępniak redaktora naczelnego Mariusza Sobkowiaka, z numeru na numer coraz dłuższy. Tu dostajemy naukowy wykład, jak się ma fantastyka do baśni. Bo właśnie tematem wiodącym numeru jest baśń, czyli gatunek znany od niepamiętnych czasów, stale obecny w mówionej kulturze ludowej i ciągle chętnie uprawiany także współcześnie. Sama wielokrotnie namawiałam autorów do tworzenia gorzowskich baśni, jako że te dotyczące naszego miasta wyrastają z kultury niemieckiej. Założeniem pisma jest, że teksty tematycznie lub miejscem zamieszkania autorów powinny się wiązać z Gorzowem. Numer więc spełnia moje marzenia. Czy naprawdę?

*

Paweł Karolczuk wymyślił świat po katastrofie i dwóch moli książkowych, którzy z poświęceniem przeszukują ruiny miast, by odnaleźć ślady Ery Ksiąg. Ładna historyjka, bliska mi, bo lubię książki. Autor jest nauczycielem języka angielskiego mocno osadzonym w kulturze fantasy, więc wpisał się w ten nurt. Opowiadka z Gorzowem nie ma nic wspólnego.

Autorka o ładnym imieniu Hihi i nazwisku Kalisiak zaproponowała baśń mocno antyaborcyjną, tyle że w odniesieniu do pegazów (z małej liter). Silne wrażenia z lektury, ale kanonu baśni o Gorzowie nie rozszerza.

Jerzy Gałpi napisał „Krótkie opowiadanie o tym, jak to Marszałek do spółki z dygnitarzami snuli się intryg przeciwko przyszłemu królowi”. Z jednej strony jest przyszły król Niedomir, a z drugiej Marszałek i dygnitarze, którzy twierdzą, że „jako wartownicy na straży porządku i moralności mamy święty obowiązek nie dopuścić do tego”. Jak wygląda ciąg dalszy zamachu stanu, można się dowiedzieć z lektury. Znowu nie o Gorzowie.

I nareszcie mam opowieść mocno osadzoną w gorzowskich realiach. To trzeci odcinek „Opowieści o gorzowskiej Wandzie” Jakuba Łukasika. W podziemnych tunelach pod Gorzowem zamieszkała legendarna Wanda, która zabija Niemców i inne osoby z niemieckimi nazwiskami lub niemieckimi konotacjami. Na czele jej poszukiwaczy stanęli Olgierd Płaski i Igor Schmidt, a pomagają im żołnierze z jednostki w Międzyrzeczu. Tunele mają sześć kilometrów, a od lat nikt do nich nie schodził, więc niespodzianek może być dużo. Do akcji włączony jest także Ernst Koch, przewodniczący Europejskiego Trybunału Sprawiedliwości, którego brat właśnie zginął w Polsce, więc on jedzie po ciało brata. W numerze mamy obszerny fragment, ale znowu tylko fragment. Poprzednie odcinki drukowane były w numerach 2 i 4, pewnie będę więc musiała poczekać przez rok na następny. Opowieść napisana jest żywo, ma dobre założenie, autor sypie pomysłami. Nie wiem, czy pisze jeden odcinek w roku, czy może ma już gotową całość. Moje zainteresowanie już rozbudził i chętnie bym przeczytała całą książkę. „LandsbergONie” – rozpocznij wydawanie własnej serii książkowej! Na pewno znajdą się czytelnicy.

*

Z przyjemnością informuję, że ten numer ma dobry, kredytowy papier i ciekawy skład, szczególnie w doborze czcionek. Znacznie lepiej prezentują się ilustracje, których autorami są: Piotr Rossa ps. Rosikowski i Leon Bakalarz, a cztery kolejne szalone smoki dodała Anna Kowalczykowska.

Coraz więcej osób związanych jest z tym tytułem prasowym. Wynotowuję ze stopki: red. nac. Mariusz Sobkowiak, z-ca red. nac. Kamil Kwiatkowski, red. merytoryczni Sebastian Górny i Piotr Jakubowski, sekretarz redakcji Aleksandra Sobkowiak, korekta Karol Wojdyło. I w każdym numerze nowi autorzy. Brawo!



*

Poprzednie numery „LandsbergONu” można przeczytać na internetowej stronie pisma. Promocje poprzednich numerów odbywały się w klubie „Jedynka”. Prezentowali się tam autorzy, mówili o sobie i swoich upodobaniach w świecie fantazji, a także w realu. Ten numer ze zrozumiałych względów promowany jest tylko w sieci. Może niebawem będzie na stronie pisma, ale na razie rozmów z autorami można posłuchać pod adresem https://www.youtube.com/watch?fbclid=IwAR0AOhZVO-G5H5OhXBIFXGHE3pN_PxnH6KIVGUK-FjkK756m5V1IeNrUe5Ok0&v=DTWIA-8hndpM&feature=youtu.be

Co prawda tylko jeden tekst spełnił moje oczekiwania na baśnie związane z Gorzowem, ale 6 numer polecam w całości, a autorów proszę o uruchomienie wyobraźni na rzecz naszego wspólnego miasta.

„LandsbergON” – Gorzowski Magazyn Fantastyczny, 2020 nr 2 (6), 22 s.



DZIEWCZYŃKA Z ZAPAŁKAMI

Prószył śnieg i wiał lekki wiatr. Dachy domów pokryły się puchową białą kołdrą, wykończoną koronką srebrnych sopli zwisających z ich krawędzi. Przytłumione światła latarni i kolorowe świąteczne lampki odbijały się w nich, skrząc się i nadając im niesamowity koloryt. Gałęzie drzew, płoty, samochody stojące na ulicy i wszystko dookoła pani Zima przyozdobiła śnieżną bielą. Podkreślało to nastrój tego jedyne go w roku świątecznego wieczoru. Wigilii Bożego Narodzenia. Zbliżała się północ. Ostatni spóźnialscy, brodząc po kostki w świeżym kopnym śniegu, śpieszyli się na pasterkę do kościoła mieszczącego się w samym środku miasta.

Wchodząc do środka, nie zauważali bądź też nie chcieli widzieć skulonej postaci siedzącej we wnęce portalu kościoła. Szara ściana dawała odrobinę osłony przed podmuchami chłodnego wiatru. Dziewczynka siedziała w kucki na wysłużonej, wypłowiałej poduszce, która wystawała spod jakiegoś starego koca, którym była opatulona. Twarz skrywała pod chustą zawiązaną w specyficzny sposób, charakterystyczny dla kobiet Wschodu. W zmarzniętej ręce trzymała przed sobą blaszaną puszkę po czekoladkach, w którym znajdowało się kilka pudełek zapalek oraz plastikowy kubek na pieniądze. Wyciągnięta do przechodzących ludzi dłoń z zapalnikami opadała zrezygnowana wraz z trzaskiem zamykanych wrót kościoła, zza których dochodziły dźwięki kolędy.

*Cicha noc, święta noc
Pokój niesie ludziom wszem...*

Rozpoczęła się msza. Dziewczyna skuliła się jeszcze bardziej, aby nie tracić resztek ciepła. Nakryła głowę kocem. Nie udało jej się sprzedać ani jednego pudełka zapalek.

– Może jak skończy się msza, wychodzący ludzie będą bardziej hojni? – pomyślała. Była głodna i zziębnięta.

– Zapalę sobie tylko jedną zapalnię. Choć przez chwilę poczuję jej ciepło.

Potała zapalnię o draskę, a ta zapłonęła ciepłym żółtozłotym jasnym płomieniem, rozświetlając wnętrze koca. Dziewczyna przymknęła oczy i wyobraziła sobie, że siedzi w swym rodzinnym domu. W ciepłym pokoju, którego ściany obwieszane były barwnymi wzorzystymi kobiercami, z sufitu zwisały zapalone lampy oliwne podkreślające ciepło wnętrza. Siedziała na dywanie naprzeciwko swojego ukochanego taty, który ciepłym, cichym głosem opowiadał jej o Szeherazadzie i inne baśniowe historie. Właśnie szykował sobie szyszę, która roznosiła dookoła aromatyczny zapach kadzidełka. Podawała mu zapaloną zapalnię. Już, już brał ją z uśmiechem od niej, gdy ta... zgasła.

Czar prysł...

Dziewczynkę otoczyła ciemność. W poparzonych palcach został tylko kawałek spalonego drewnika i powrócił koszmarny dalszy ciąg tamtego wieczoru. Jacyś straszni ludzie z karabinami wpadli do pokoju. Wrzeszcząc i bijąc wszystkich, wygonili ich z domu, który zaraz potem podpalił. To wtedy widziała tatusa po raz ostatni. Ach, jak bardzo za nim tęskniła. Wytarła łzę z policzka. Robiło się coraz chłodniej, była głodna.

Szybko zapaliła drugą zapalnię. Wnętrze koca wypełniło się ponownie blaskiem. Przypomniała sobie dzień dziękczynienia na zakończenie świętego miesiąca postu Ramadanu. Mecze-ty tego dnia rozświetlały się palącymi lampami. Radośni ludzie odwiedzali się wzajemnie, pozdrawiając się słowami – Eid Mubarak. Obdarowywali się prezentami i wybacza- li sobie urazy. Ci, którzy mieli czym się dzielić, rozdawali potrzebującym jałmużnę. Nikt nie był tego dnia głodny. W domu czekała babcia

z pysznym jedzeniem i talerzami pełnymi słodkości. Zapalnia zgasła.

Czar prysł...

Głód pozostał. Pograżona w ciemności dziewczynka przypomniała sobie drogę, jaką przebyły z mamą, by tu trafić. Najpierw tułały się przez pustynię w skwarze dnia, wypatrując na błękitnym bezchmurnym niebie, czy nie nadlatują samoloty niosące śmierć. Po wielu dniach tułaczki dotarły nad brzeg morza. Za ostatnie pieniądze wykupiły miejsce na zdezelowanym, przeładowanym takimi jak one uciekinierami pontonie. Nie wszyscy przeżyli tę przeprawę przez bezkresne morze. Przemysłowcy zostawili ich na przeciwległym brzegu. Tułały się po starym kontynencie, żebząc i przymierając głodem. Po wielu miesiącach dotarły do tego zimnego kraju, w którym ludzie patrzyli na nie z niechęcią, a w telewizji jakiś mały człowieczek z twarzą wykrzywioną nienawiścią wykrzykiwał:

– Nie chcemy, by tutaj powstawały strefy szarijatu. Są już przecież objawy chorób bardzo niebezpiecznych... Różnego rodzaju pasożyty, pierwotniaki, które nie są groźne w organizmach tych ludzi, mogą być tutaj groźne...

Było jej coraz zimniej. Drżącymi rękoma zapaliła kolejną zapalnię. Zapłonęła żywym ogniem. Wpatrując się w płomień, zobaczyła w nim całą swoją rodzinę, skupioną wokół ogniska, w oazie, w samym sercu pustyni. Zmierzali do Mekki. Był to obowiązek każdego muzułmanina. Wyruszyli wtedy w podróż całą rodziną. Ileż w nich było radości! Dziadkowie i rodzice opowiadali o świętym kamieniu, o tych nieprzeliczonych tłumach ludzi z całego świata. Babcia tuliła ją do siebie. Ciepło ogniska i zmęczenie robiły swoje, oczy zamykały się same. Zapalnia zgasła.

Czar prysł...

Dziewczynka wyciągnęła ręce do znikającego obrazu. Gdzie oni teraz są? Rozrzućni po świecie. Większość z nich zginęła w zawierusze wojennej, mama zmarła w schronisku dla bezdomnych. Tak za nimi tęskniła w tym zimnym, nieprzyjaznym kraju. Skuliła się jeszcze bardziej. Skrzypiące drzwi od kościoła uchyliły się. Ze środka dobiegły dźwięki kolędy, znak tego, że msza się skończyła.

*Cicha noc, święta noc
Pokój niesie ludziom wszem...*

Pierwsi ludzie zaczęli wychodzić z kościoła.

– Już pora – pomyślała dziewczynka. Zaczęła zapalać kolejną zapalnię. Niestety, ta złała się z trzaskiem. Wzięła kolejną. Drżącymi dłońmi potarła o draskę. Rozjarzyła się jasnym płomieniem. Zbliżyła ją do krótkiego lontu połączonego z pasem szyhida.

– Znowu będziemy razem... – wyszeptwała.

Czar prysł...



SŁAWOMIR OSIŃSKI (SŁOŚ) „MIKOŁAJKI”



Termin zgłaszania dzieł literackich i naukowych (w trzech egzemplarzach) oraz publicystyki regionalnej upływa 18 stycznia 2021 r. Regulaminy na stronie www.wawrzyny.norwid.net.pl; www.biblioteka.zgora.pl; www.wimbp.gorzow.pl

ZASADY WSPÓŁPRACY

Przekazując materiały do redakcji czasopisma literackiego „Pegaz Lubuski” wydawanego non profit, autor/ka oświadcza, że:

- wyraża zgodę na ich nieodpłatne rozpowszechnianie w formie druku i w wersji online,
- teksty i zdjęcia są w całości jego/jej autorstwa i nie naruszają praw osób trzecich,
- udziela zgody na wykorzystanie swojego wizerunku i danych osobowych w notkach biograficznych i materiałach promocyjnych, ponosi wyłączną odpowiedzialność z tytułu ewentualnego naruszenia przez siebie prawa spowodowanego publikacją nadesłanych utworów,
- zezwala redakcji na dokonywanie skrótów i korektę merytoryczną w nadesłanych materiałach.



CZASOPISMO LITERACKIE
pod auspicjami WiMBP i ZLP w Gorzowie Wlkp.

Wydawcy: Oddział w Gorzowie Wlkp. Związku Literatów Polskich oraz Wojewódzka i Miejska Biblioteka Publiczna im. Zbigniewa Herberta, ul. gen. Wł. Sikorskiego 107, 66-400 Gorzów Wlkp.

Red. nac.: Ireneusz Krzysztof Szmidt, tel. 501 520 227, e-mail: i.k.szmidt@wp.pl. Sekretarz red.: Danuta Zielińska, tel. 95 727 70 70, e-mail: informacja@wimbp.gorzow.pl.

Współpraca: Jerzy Alski, Anna Dominiak, Beata P. Klary, Krystyna Kamińska, Ewa Rutkowska, Anna Sokółka. Grafika i rysunki: Zbigniew Olchowik, Romana Kaszczyk, Jacek Lau-da. Zdjęcia: Bogdan Bloch, Jacek Buczyński, Hanna Kaup (e-Gorzowska), Ewa Kunicka, Kazimierz Ligocki, Marzena Maćkała, Grzegorz Tajnsner, Grażyna Wyszomirska oraz archi-wa wydawcy i autorów.

Skład komputerowy: Daniel Besta i I.K. Szmidt.

Wszystkie numery „Pegaza Lubuskiego” są dostępne na stro-nie www.wimbp.gorzow.pl.

FERDYNAND GŁODZIK OBSERWATOR

Chociaż wiotczeją inne organy,
on wciąż aktywny, niezmordowany,
choć się natrudzi i nauzera,
jemu przeważnie nic nie doskwiera.

Czy to niedziela czy też sobota,
on na wysokich ciągle obrotach,
pracuje dzielnie i bez wytchnienia,
nie pofolguje, nie zna zmęczenia.

Najmniejszy drobiazg dostrzec potrafi,
nic nie przeoczy, nic nie przegapi,
on wie dokładnie, co w trawie piszczyci,
potrafi judzić, gnębić i niszczyć.

Chociaż aktywny i błyskotliwy,
bywa do gruntu wścibski, złośliwy;
czasem mu przyjdzie złych słów żałować,
gdy rzeknie coś, nim pomyśli głowa.



CYSORZ

(według Andrzeja Waligórskiego)

Cysorz to ma kławe życie,
nie obchodzi go hołota,
przede wszystkim już o świcie
dają mu do łóżka kota.

Cysorz nigdy nie jest nagi
choćby nawet krótką chwilę,
bo ten, komu brak odwagi,
zmienia tylko kotu żwirek.

Ciągle werble i fanfary
i tysiące chwytów tanich,
choć ten cysorz głuchy, stary
tak w ogóle jest do bani.

Bo to jest prawdziwy Polak,
nie Rosjanin ani Nordyk,
pełno wrogów dookoła
i same zdradzieckie mordy.

A tu premie i bonusy
nie w złotówkach, lecz w milionach,
przy nich wszelkie pięćset plusy,
to są grosze, niech ja skonam!

Lecz dworzanie wciąż przejęci,
boją się o gniewu wybuch,
by ich cysorz nie przepędził
i to bez żadnego trybu.

ALEKSANDRA

Chcę się zająć – jeśli państwo mi pozwolą,
Aleksandrą – przez przyjaciół zwaną Olą.
Gdy cię gnębią złe nastroje, gdy masz chandrę,
O poradę poproś wtedy Aleksandrę.

Dla niej kiedyś układano zgrabne rymy,
Które zwą się po dziś dzień aleksandryny.
U Jankesów, co się czują od nas lepsi,
Zamiast naszej Aleksandry jest Alexis!

Niech zamilknie męska zawiść, zazdrość wszelka.
Aleksandra też czasami bywa wielka!
Chciałbym, aby od Gorzowa aż do Słońska
Królowała Aleksandra Macedońska.

ARKADIUSZ

On potrafi zagrać nawet z kapelusza;
Ulegając urokowi Arkadiusza,
Niech opatrność was zachowa w swej opiece,
Jego ciągle się trzymają jakieś hece!

W Arkadiuszu taka dusza jest rogata,
Myśli ciągle, aby komuś figla spletać,
Z kwaśnym mlekiem kanarkowi zmieszać ziarno,
Śpiącej babci wysmarować nos musztardą...

Chociaż często figle płać i się czubi,
Jest tak szczery, że nie można go nie lubić.
Wszystkie panie tęsknią wciąż za Arkadiuszem,
Obojętnie, czy jest młodzian, czy staruszek.

ARLETA

Trudno nudzić się u boku tej kobiety,
bo Arleta miewa wady i zalety.
Świetnie czuje się w salonach lub na scenie,
wtedy czarem swym zadziwia otoczenie.

Oko bardzo spostrzegawcze, umysł bystry,
a charakter ekspansywny, wręcz porywczy.
Delikatna, ciężko znosi niewygody,
lubi luksus oraz szybkie samochody.

Ckliwe tony romantyczne jej nie służą,
więc nieczęsto poetycką bywa muza,
lecz w satyrze mocny akcent w mig dostrzeżę
i dlatego znakomity z niej podżegacz!

DANUTA

Przez litewsko-polskie dzieje, od Kiejstuta,
w kalendarzu pojawiła się Danuta.
Stale drzemie w niej energia niespożyta,
zgłębia świata tajemnice, dużo czyta.

Robi wiele rzeczy naraz, żyje w biegu,
lecz starannie dopracuje każdy szczegół;
miewa chwile refleksyjne, nawet łzawe,
lecz potrafi czasem wyleźć też na ławę.

Wtedy zagra i zaśpiewa prawie wszystko,
aż ją porwie w swe objęcia jakiś Zbyszko.
Tańczą wtedy ściany, sufit i podłoga,
bo Danuta córką nieba, darem Boga!